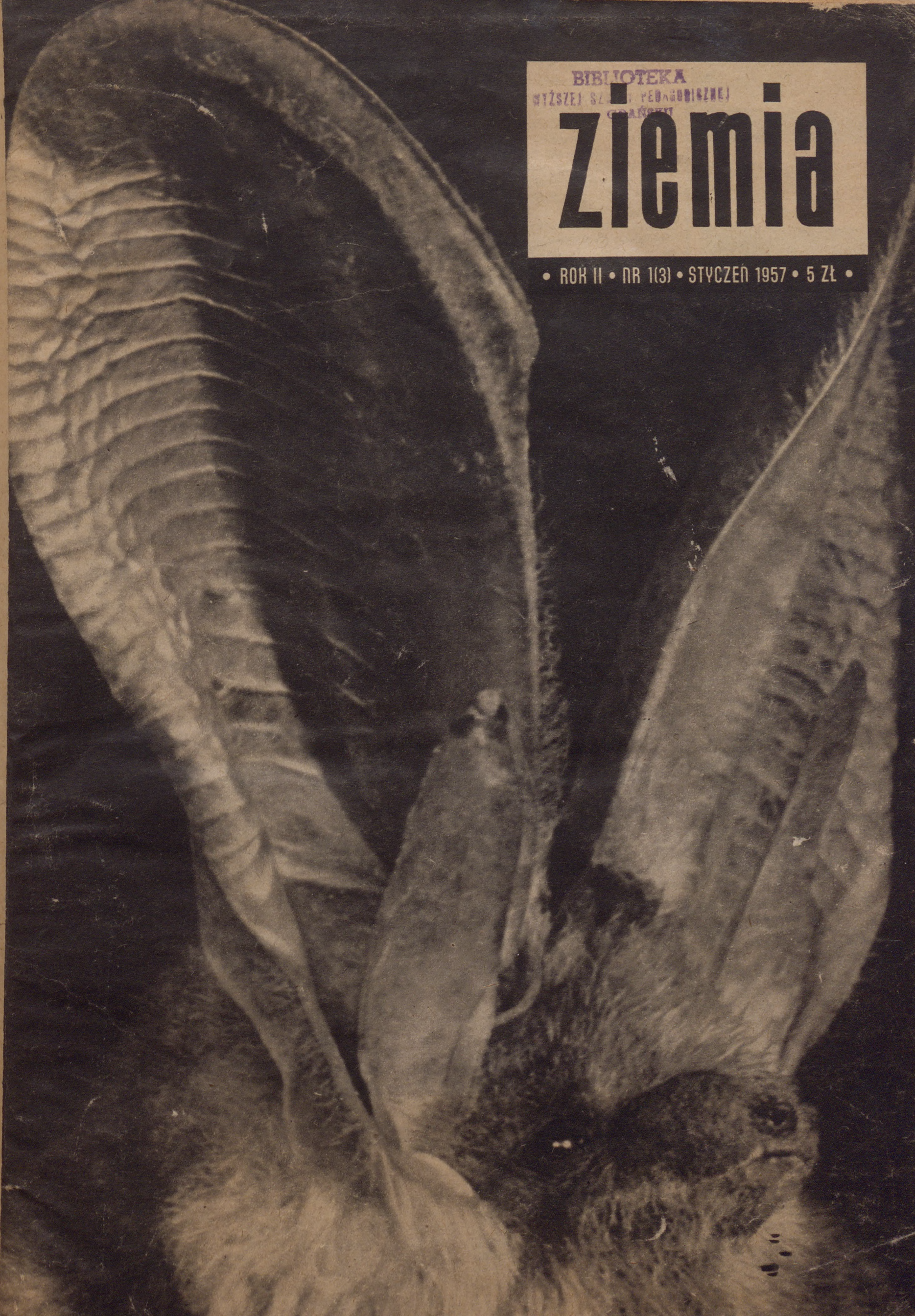


BIBLIOTEKA  
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ  
W KRAKOWIE

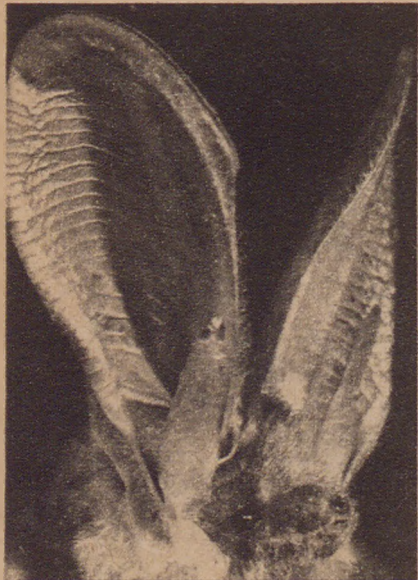
# ziemia

• ROK II • NR 1(3) • STYCZEŃ 1957 • 5 ZŁ •



NASZA OKŁADKA

przedstawia portret nietoperza gacka wielkoducha (*Plecotus auritus*) wykonany przez Włodzimierza Puchalskiego. O tym ciekawym i mało jeszcze zbadanym zwierzątku pisze na str. 5 doc. Kazimierz Kowalski.



W NASTĘPNYM NUMERZE M. IN.:  
FABRYKA BRONI  
KARPACKIE HIEROGŁIFY  
OSTATNIE WIATRAKI  
CZY GOPŁO BYŁO RZEKĄ?  
KAPLICZKI-LATARNIE  
JAK FRANCUZ PAYEN PO POLSCE  
WĘDROWAŁ.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego zacznie się ukazywać od 1957 roku

ENCYKLOPEDIA WSPÓŁCZESNA

Będzie to wydawnictwo ciągłe; co miesiąc będzie wychodził 1 zeszyt o objętości 64 stron formatu B5 (176 x 250 cm). Każdy zeszyt zawierać będzie część kronikarską referującą wydarzenia polityczne, naukowe i kulturalne ostatniego miesiąca oraz część encyklopedyczną zawierającą ok. 50 haseł związanych bezpośrednio z życiem współczesnym. ENCYKLOPEDIA WSPÓŁCZESNA będzie częściowo zaspokajać dotkliwy brak na rynku jakichkolwiek encyklopedii powszechnych.

Z względu na ograniczony nakład ENCYKLOPEDIA WSPÓŁCZESNA rozprowadzana będzie tylko w prenumeracie rocznej i półrocznej.

Cena zeszytu zł 7. — Prenumerata roczna zł 84, — półroczna zł 42, — Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują w okresie od 15 grudnia 1956 r. do 5 lutego 1957 r.

— Oddziały „Ruchu”  
— Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, Srebrna 12. Nr konta dla wpłat PKO I — 6 — 100.020 z zaznaczeniem „Encyklopedia Współczesna”.

ZAMÓWIENIA I PRZEDPŁATY NA PRENUMERATĘ „Ziemi” przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” w Warszawie, ul. Srebrna 12, Konto PKO I-6-100020.

Cena w prenumeracie:  
kwartalnie zł 15,—  
półrocznie zł 30,—  
rocznie zł 60,—

Prenumeratę na II kwartał 1957 przyjmują się od 10 lutego do 11 marca 1957.

ZIEMIA — ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIEGIEL, red. techniczny — FABIAN SZLANG, red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red. działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, pl. Włosny Ludów 8, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. ODDZIAŁ W KRAKOWIE, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład: 18.000 egz. Papier rot. 70 g. Cena zł 5.—, Zam. nr 839/56. M-17. DRUKARNIA NARODOWA, KRAKÓW

**T**reść pojęcia „krajoznawstwo” ulegała zmianom i przeobrażeniom z biegiem czasu coraz bardziej wartkiego życia społeczeństwa. Dziś przeciętny obywatel naszego kraju rozumie przez ten rozpoznań wyraz poznawanie kraju przez wycieczki, a zdobywanie wiedzy o nim przez lekturę, odczyty.

Idea krajoznawcza zmieniła się także. Pięćdziesiąt rocznica założenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego stwarza okazję do omówienia w krótkim zarysie historii idei krajoznawstwa w Polsce.

Koncepcje, które moglibyśmy nazwać dziś krajoznawczymi, ujawniały się niejednokrotnie na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie w okresie 1800—1830 r. I tak np. w roku 1803 ks. Woronicz wzywa młodzież do zbierania pieśni ludowych. W 1805 roku generał Wincenty Krasinśki przedstawia Towarzystwu szczegółowy program dykcjonarza geograficzno-historycznego, który by przy każdej miejscowości uwzględnił historię jej nazwy, „godne czyny tam dzia-

KAZIMIERZ STASZEWSKI

łane”, przypadki, bitwy, „przebywanie wielkich ludzi”, nagrobki — słowem wszystko, co tylko może Polaka interesować we własnym kraju. Była to jakby pierwsza ankieta krajoznawcza. Jeszcze bardziej szczegółowa ankieta krajoznawcza nieznanego autora ukazała się w roku 1813. Kazimierz Brodziński na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego przedstawia projekt zbierania pieśni ludowych.

Oskar Kolberg (1814—1890), który kształcił się na muzykompozytora, lecz życie poświęcił etnografii, w wędrowkach po kraju nagromadził wiele materiału etnograficznego i krajoznawczego, zebranego w 33 tomach dzieła *Lud i jego zwyczaje*, oraz w *Pieśniach ludu polskiego*.

Zygmunt Gloger (1845—1910) to drugi z kolei wielki badacz naszego kraju. Dzieła jego życia to *Encyklopedia Staropolska*, *Rok Polski w życiu, tradycji i pieśni*, *Geografia historyczna ziem polskich*.

W latach 1880—1904 ukazuje się *Słownik Geograficzny Ziemi Polskich* wydawany pod redakcją początkowo Filipa Sulimierskiego, potem Bronisława Chlebowskiego. W roku 1881 pod redakcją Bronisława Znatowicza zaczyna wychodzić *Pamiętnik Fizjograficzny. Słownik Geograficzny i Pamiętnik Fizjograficzny* były przed 1906 rokiem

głównym źródłem usystematyzowanej wiedzy o kraju.

To są antecedencje i baza wyjściowa ruchu, który narodził się w swej organizacyjnej formie nieco później.

Były to czasy wielkiego ucisku narodowego. Szkołom zabrano naukę historii i geografii Polski, a język ojczysty coraz bardziej ograniczano. Co śmiałojsi Polacy starali się przemycać wiedzę o Polsce w takich formach, jakie w warunkach niewoli były dostępne. Idea krajoznawcza znakomicie ułatwiała tę pracę. Na łamach takich czasopism, jak „Tygodnik Ilustrowany”, „Wędrowiec”, „Biesiada Literacka”, „Ziarno”, „Wieniec”, „Świat”, a także w prasie codziennej ukazywały się coraz częściej opisy i ilustracje krajoznawcze, budząc wielkie zainteresowanie czytelników.

W drugiej połowie XIX wieku w zaborze austriackim nastąpiło pewne rozluźnienie ucisku policyjnego. Zespół miłośników gór wystąpił się w Wiedniu o zezwolenie na utworzenie Towarzystwa Tatrzańskiego (1883). Zainteresowania turystyczno-krajoznawcze tego Towarzystwa szybko rozszerzyły

został zatwierdzony. Jako założyciele Towarzystwa wystąpili Aleksander Janowski, Karol Hoffman, Kazimierz Kulwiec. Prezesem został Zygmunt Gloger.

Powstała pierwsza organizacja społeczna, która zagadnienie krajoznawstwa polskiego ujęła w pewien system. Suchy i skromny był ówczesny statut Towarzystwa. W zadaniach PTK wskazywało na potrzebę zbierania materiałów krajoznawczych, popularyzowania wiedzy o kraju w czasie wycieczek, za pośrednictwem odczytów, wykładów. Podkreślało ważność działania wśród młodzieży. Wychowawcze i polityczne cele PTK ze względów zrozumiałych pominięte były w statucie. Ale od początku istnienia Towarzystwu przyświecało piękne hasło: przez poznanie — do umiłowania kraju, przez umiłowanie — do czynów ofiarnych.

To hasło było zasadniczą podwaliną wszystkich poczynań Towarzystwa od roku 1906. Nadawało ono polskiemu krajoznawstwu specjalne oblicze, wymagało wychowawczej postawy wobec wszystkich poczyna-

## JUBILEUSZ POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

się również na Beskidy i ziemie sąsiadujące. Działalność przejawiała się w wydawaniu szeregu publikacji zachęcających do wędrowek po górach i do poznawania kraju ojczystego. Dr Chałubiński, ks. Stolarczyk, Pawlikowski — to promotorzy idei krajoznawstwa w zaborze austriackim.

Warunki polityczne w Kongresówce długo uniemożliwiali powołanie społecznej instytucji krajoznawczej, choć prowadzono pewne prace w tym kierunku. W Warszawie Aleksander Janowski (1870—1945), skromny urzędnik Kolei Warszawskowiedeńskiej, potem profesor gimnazjalny, prowadzi wycieczki krajoznawcze, wydaje własnym sumptem drobne broszurki ułatwiające innym organizowanie wycieczek, wygłasza cieszące się ogromnym powodzeniem odczyty krajoznawcze, ilustrowane przezroczkami.

Aleksander Janowski wraz z gronem krajoznawców, ukrytych w skromnej komisji przyrodniczej Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego, wykorzystał chwilę, gdy rewolucja 1905 roku rozluźniła nieco w Kongresówce pęta niewoli. Rozpoczęto wówczas starania o zezwolenie na założenie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie. Po przewycięzeniu ogromnych trudności w roku 1906 statut, zwany wówczas *Ustawą PTK* —

nań krajoznawczych. Mikołaj Wisznicki, jeden z członków założycieli Towarzystwa, podkreślał, że „krajoznawca szuka wiedzy o Polsce sercem”.

Program Towarzystwa był wyrażony śmiało, jak na owe czasy, w symbolicznym godle. Herby Warszawy, Krakowa i Poznania, stolic trzech zaborów, powiązano w tym godle jednym kręgiem „wiary w przyszłe wyzwolenie”. Sylwetka zamczyska w Ogrodzieńcu wyrażała cześć dla zabytków kultury narodowej.

Zrodzona w PTK koncepcja ideologiczna przepełniła prace wszystkich działaczy krajoznawczych. Toteż po odzyskaniu niepodległości patrzyli oni z dużym sceptycyzmem na działalność instytucji turystycznych, bagatelizowały wychowawcze podłoże ruchu krajoznawczego.

Do roku 1914 towarzystwo prowadziło badania krajoznawcze, w Komisji Fizjograficznej skupiło cały zastęp uczonych drukujących swoje prace w przejętym przez PTK od Br. Znatowicza „Pamiętniku Fizjograficznym” oraz w wychodzącym od roku 1910 własnym organie krajoznawczym „Ziemia”. Wydawano liczne przewodniki obejmujące najczęściej dział geograficzny, przyrodniczy, hi-

# SIETESKIE „DROBY“

ZYGMUNT WIGLUSZ

Idąc przez Sietesz w noc sylwestrową już z daleka słyszy się muzykę, dzwonienie dzwonek, bicie w bębny, strzelanie z batów i głośne wołanie „oha oha oha ha, uha uha uha ha!“. To powitanie Nowego Roku. Witają go wszyscy, a najpiękniej chyba „droby“. „Droby“ to jeden z obrzędów noworocznych utrzymujących się w tej rzeszowskiej wsi do dnia dzisiejszego. Występują w nim mężczyźni zwani „drobami“, wyobrażający diabła, czarownicę, dziada, cygana, kozła i dzikiego człowieka z rogami. Już od wieczora sylwestrowego słychać dzieci naśladujące drobów, które wołają zmienionym, grubym głosem „uha ha, oha ha, droby idą!“. Gdy jednak nadchodzi prawdziwe droby, dzieciaki uciekają do izb, zamykając drzwi na zasuwę, bo naprawdę widok nadchodzącej gromady może wzbudzić obawę. Zespół drobów liczy najmniej cztery, najczęściej sześć do ośmiu, a czasem nawet dwunastu osób. W takiej grupie chłopców i młodych mężczyzn musi być ktoś, kto umie grać na harmonii, skrzypcach lub organkach, bo bez muzyki droby nie mają powodzenia.

bęben, harmonia i gitara, a ustępują im miejsca stare basy i skrzypce. Droby idą z muzyką, trzaskaniem z batów, z wesołym gwarem, dzwonekami i charakterystycznym hukaniem. Oprócz żywej i skocznej melodii, uroku i egzotyki dodają drobom stroje. Najbardziej zasadniczą częścią ubioru droba jest maska zwana popularnie „drobówką“. Drobówki wykonywane są specjalnie na obchód, na kilka dni przed „sylwestrem“. W lnianym worku uszytym według wielkości głowy wycięte są otwory na usta, oczy i nos. Dziury te obszywa się często kolorowym płótnem, by dodać większego wyrazu i charakteru masce. Do otworu na usta przyszyty jest nieraz duży, zwisający język czerwony. Dalszą część drobówki stanowi naszyty nos skórzany, wąsy z długiej wełny lub pakuł, broda. Naszyte skórki baranie lub królicze mają imitować włosy. Drobówkę taką silnie umocowuje się sznurkiem pod ramionami. Jest kolczasta, gdyż spośród ozdób sterczą z niej na zewnątrz szpilki. Wszystko to ma utrudnić zdarcie maski z twarzy droba i jego rozpoznanie. Nakrycie głowy droba stanowi bardzo często

świętecznej przybrane kolorowymi papierami lub łańcuszkami. Inne drobówki mają znów zamiast korony lub kapelusza wielkie rogi krowie, baranie lub kozie.

Maska diabła jest nieco odmienna, czarna z czerwonymi obszyciami oczu i języka oraz dużymi rogami zwierzęcymi lub wykonanymi z drzewa. Każda z masek w sposób dowcipny i ekscentryczny charakteryzuje postać, jaką ma przedstawić aktor. Maska droba jest najważniejszą częścią stroju. Znaczną rolę odgrywa tu ambicja, aby nie dać się poznać.

Poza tym ubiór droba składa się z kozucha odwróconego wewnątrz do góry, skórzanych spodni, zwanych „skorzokami“, też odwracanych, i z innych kolorowych części garderoby używanych na codzień. Do często używanych strojów należą części ubrań wojskowych z różnych okresów. Tak np. po pierwszej wojnie światowej ubierano się w stare wojskowe mundury austriackie, po drugiej wojnie światowej wkładano na siebie polskie mundury wojskowe. Czasem można było nawet spotkać droba w mundurze gestapowca.

stanik, spódnicę szeroką i przeważnie szeroki i długi szal lub płachtę zarzuconą na ramiona.

Cyganka nosi z sobą dziecko zwane przez drobów „najduchem“. Jest to owinięta w szmaty kukła wypchana sianem lub słomą, z uformowaną głową, wymalowanymi oczami i ustami. „Najduch“ ma wmontowaną wewnątrz flaszkę z wodą, z wystającą szyjką między nóżkami. Cyganką i „dzieckiem“ opiekuje się kroczący obok cygan. Dziad zbiera do worka upominki przeznaczone dla drobów. Inne droby to nieokreślone potwory, groźne i straszne w swych dziwacznych strojach, a jeszcze większej niesamowitości dodaje im zimowa noc.

Droby odwiedzają mieszkańców już od nadchodzącej północy Nowego Roku aż do dnia następnego, często nawet do południa. Najbardziej odwiedzin drobów oczekują dziewczęta. Fakt pominięcia jej przez drobów poczytuje sobie dziewczyna za afront. Dom, w którym w noc noworoczną było najwięcej drobów, cieszy się opinią szczególnie gościnnego. Tej nocy wszystkie domy są starannie pozamykane, gdyż droby uważają za sukces zaskoczenie domowników i niespodziewane wtargnięcie do wnętrza.

Przyszedłszy pod zamknięty dom, droby proszą gospodarzy o wpuszczenie ich do środka. Pod drzwiami rozpoczynają swój program. Grajkowie popisują się skocznymi melodiami, a że nie zawsze są to zawodowi muzycanci, lecz amatorzy z przypadku, melodie te brzmią dziko lub nawet zgoła egzotycznie. Część drobów tańczy, inni zaś w dalszym ciągu domagają się wpuszczenia do izby. I tak cyganka z dzieckiem lamentuje prosząc o pozwolenie ogrzania i nakarmienia dziecka. Proszą też inni członkowie zespołu stosownie do odgrywanych przez siebie ról. Wreszcie gospodarze domu, jeśli decydują się na wpuszczenie drobów, otwierają gościom drzwi zapraszając ich do środka. W izbie rozpoczyna się druga i chyba najważniejsza część widowiska. Droby wchodząc składają życzenia noworoczne. Życzenia te są bardzo różnorodne, często mówione wierszem, np.: „na szczęście na zdrowie na ten Nowy Rok niech wam się uda kapusta i groch, ziemniaki jak chodaki, stokłosa do pasa...“

Cyganka wróży i życzy gospodarzom „żeby się krowy masłem doily, żeby wszystko zło odleciało, żeby czarownica nie uczarowała“. Inne zaś życzą „żeby wam wódka ze strzech kapala, żeby się wam dużo dzieci narodziło“.

Pannom osobne składa się życzenia w rodzaju: „zyczę ci, żebyś dostała męża ładnego pod powałę wysokiego“. Tu bardzo często drob odgrywający rolę Żyda zwraca się do matki panny, wyrażając chęć sprzedaży



Sieteskie droby w grafice Zygmunta Wiglusza. Rys. tuszem 21x19 cm

Dawna muzyka towarzysząca drobom składała się przeważnie z tych instrumentów, jakimi wieś posługiwała się na weselach, zabawach itp. Dzisiejsza muzyka drobów staje się bardziej współczesna. Do wsi przedostają się instrumenty takie, jak: saksofon, klarnet, kornet,

doszyty do maski stary męski kapeluszy filcowy, dawniej słomiany, lub okazała korona, wykonana z warkocza słomianego. Korony bardzo różnie plecione i upinane wysoko powiększają wzrost droba. Koronę taką, usztywnioną często kolczastym drutem, zdobią gałązki choinki

Do przebierania się służą na ogół, jak już wspomniałem wyżej, kozuchy, ale nie tylko one, bo na przykład diabeł ubiera się w czarne obcisłe szaty niezbyt grube, by mógł harcować swobodnie nie męcząc się ciężkim ubiorem. Cyganka wkłada znów gorset haftowany czy kolorowy



jednego ze współtowarzyszy. Przy tej okazji dochodzi do żartobliwego targu.

Po życzeniach następuje poczęstunek. Powszechny zwyczaj nakazuje częstowanie drobów wódką lub winem. Bardzo często się zdarza, że gospodarze przygotowują na ich przyjęcie obfite śniadanie.

Dawniej — jak mówią starzy — obdarowywano drobów zbożem, specjalnie pieczonymi na ten cel bułkami „szczodrokami”, a nawet pieniędzmi. Obecnie jednak zwyczaj ten poszedł w zapomnienie.

Przez cały czas trwania wizyty drobny grają słoczne melodie, przy których wszyscy tańczą. Podczas tańców domownicy a zwłaszcza dziewczęta, starają się rozpoznać i amaskowanych drobów. Usiłują więc siłą zerwać im maski z twarzy.

Korzystając z zamieszania w izbie drobny, zmyliwszy czujność domowników, starają się przy tym płatać różne figle, nieraz kłopotliwe. Na przykład cyganka kręcąc się koło garnków, nasypie soli do kawy czy pieprzu do mleka. Cygan wpycha lalkę „najducha” pod pierzynę,

„by się ogrzał”, tam otwiera niespodziewanie flaszkę przymocowaną do kukły i woda wylewa się na pościel. Mimo wielu takich niespodzianek nieraz przykrych dla domowników odwiedziny drobów spotykają się zawsze z życzliwym przyjęciem. Drobny żegnają domowników i idą do następnego domu, z góry już upatrzonego. Zdarza się często, że spotykają się w jednym domu dwa konkurencyjne zespoły drobów, ale spotkania tych unikają, ze względu na brak miejsca w izbach i odrębny program, jaki każda z grup sobie obiera.

Długim łańcuchem rozciąga się wieś Sietesz, jakby chciała połączyć inne sąsiadujące okolice Markowej, Gaci z Siedleczką. Ta znów sięga małego miasteczka Kańczuga, która szczyty się wąskotorową kolejką prowadzącą z Przeworska do Dynowa. Dziwne, dlaczego w sąsiednich, przylegających wioskach do Sieteszy, jak Markowa, Gać czy Siedleczka zwyczaj drobów nie jest zupełnie praktykowany, chociaż wiadomo, że się bardzo podoba. Dotychczas nie znana jest zdaje się również jego geneza.



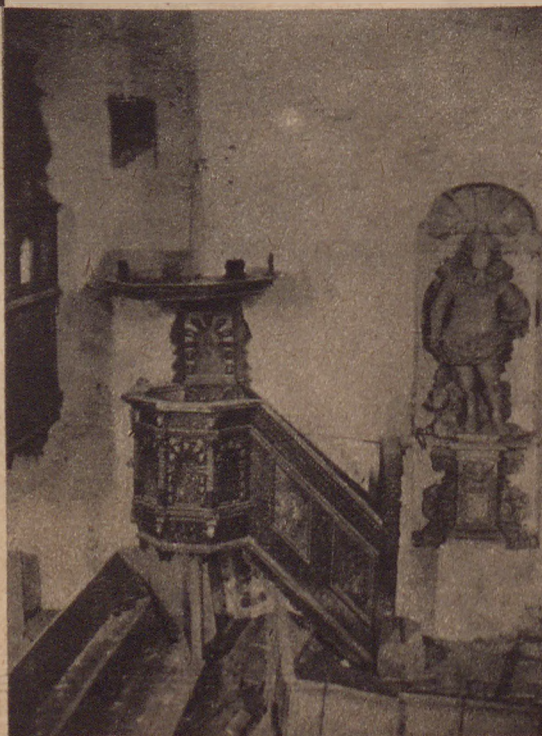
## ŁABĘDNIK

leży wśród łagodnych morenowych wzgórz, w lesistym, północno-wschodnim obszarze województwa olsztyńskiego. Kościół tamtejszy niewątpliwie należy do najciekawszych zabytków całego regionu. Budowla pochodzi z późnej epoki gotyku — z wieku XV. Architektura — jak zresztą wszędzie w tej części kraju — wyjątkowo szlachetna. Składa się na to prostota form i harmonia bryły. Dekoracja skupia się na szczytach wschodnim ozdobionym smukłymi blendami i sterczynami oraz na wieży, zwieńczonej również małymi szczykami. Pięknie profilowany portal z formowanej cegły prowadzi do wnętrza. Wewnątrz ukazuje się oczom straszliwy obraz dewastacji. Do 1945 r. był to kościół ewange-

licki. Ale dziś ewangelików w Łabędniku można by policzyć na palcach, więc budynek stoi nie użytkowany. Więcej: rozszabrowany i beznamiętnie zniszczony — podłoga częściowo zerwana, ławy połamane, nagrobki potłuczone. Nawet bardzo interesującego późnorenansowego ołtarza głównego z wprawionymi gotyckimi płaskorzeźbami nie oszczędziły ręce barbarzyńców.

Przez rozbite okna wpada wiatr i syczy się wilgoć. Ze ścian opada tynk i oto spod pobiałej ukazują się na przestrzeni ścian całego kościoła doskonale zachowane gotyckie freski. Ale jeszcze rok, jeszcze dwa, a odpadną i one.

TADEUSZ CHRZANOWSKI



↑ Ewangelicki kościół w Łabędniku (woj. olsztyńskiej) z epoki późnego gotyku

← Płaskorzeźba gotycka (z końca XIV w.) z głównego ołtarza kościoła w Łabędniku

← Tak wygląda dziś zdewastowane wnętrze zabytkowego kościoła

(Wszystkie zdjęcia autora)

Autor artykułu — doc. Kazimierz Kowalski — jest twórcą nowoczesnej speleologii polskiej. Między innymi prowadzi też badania nad nietoperzami. Niedawno wespół z Wł. Puchalskim nakręcił film krótkometrażowy o życiu tych zwierząt. Na zdjęciu: autor sporządza plan jednej z jaskiń tatrzańskich.

Fot. R. Gradziński



# NIETOPERZE

Kazimierz Kowalski

**M** mało jest zwierząt tak tajemniczych i tak słabo poznanych jak nietoperze. Mimo że są ssakami — latają jak ptaki. Poruszają się swobodnie w ciemnościach. Liczne w lecie — znikają zimą zupełnie z naszych pól i lasów. Wzbudzały lęk jak wszystko co obce i niezrozumiałe. Nauka wyjaśniła już dziś wiele zagadek życia tych chyba najdziwniejszych ze ssaków, ale niejedno jeszcze w ich obyczajach pozostaje tajemnicą.

W Polsce żyje 17 gatunków nietoperzy. Najmniejszy z nich, karlik malutki, waży zaledwie 3—5 gramów, a rozpiętość jego skrzydeł wynosi około 20 cm, największy zaś, borowiec wielki, osiąga 30 g wagi i 45 cm rozpiętości skrzydeł. Poszczególne gatunki nietoperzy różnią się nie tylko wielkością, ale kształtem uszu, barwą futerka, szybkością lotu, obyczajami i wymaganiami żywymi.

Pod względem trybu życia wyróżnić można dwie grupy nietoperzy: skalne i leśne. Gatunki leśne chronią się w dziuplach, skrzynkach na ptaki, pod odstającą korą, polują zaś wśród koron drzew albo na przecinkach leśnych, na polanach i brzegach lasów. Należy do nich świetnie latający borowiec wielki, zgrabny karlik malutki i podobny do niego karlik większy oraz kilka innych. Niektóre z tych nietoperzy zamieszkuje najczęściej dziuple drzew rosnących nad wodą i polują wieczorami na owady latające nad samą powierzchnią jezior i rzek. Te gatunki, do których należą noczek łydkowłosy i rudy, są wielkimi tępiciełami komarów.

Druga biologiczna grupa nietoperzy to mieszkańcy skał. Kiedyś chroniły się one wyłącznie w jaskiniach i szczelinach skalnych, dziś jednak również często szukają schronienia w osiedlach ludzkich — na strychach, w piwnicach, w szparach murów. Miasta ze ścianami domów i wawozami ulic tak pod wieloma względami przypominają krajobraz skalny, że wiele zwierząt skalnych należy dziś do najpospolitszych mieszkańców miast, jak choćby ptaki: jerzyki, jaskółki, gołębie. Do skalnych gatunków nietoperzy należą dziwaczne podkowce, nocki duże i nocni orzęsione. Są też i takie nietoperze jak pospolity gacek wielkouch lub mopek, które czują się równie dobrze w lasach jak wśród skał czy też w pobliżu osiedli ludzkich.

W letnie wieczory wkrótce po zachodzie słońca opuszczają nietoperze swe kryjówki. Jeśli kryjówki te znajdują się w lesie, to nietoperz zaraz po wylocie zaczyna polowanie na licznie o tej porze latające owady nocne. Jeśli kryjówki leżą na terenie miasta, nietoperze lecą nieraz kilka kilometrów do swych terenów łowieckich. Tak na przykład w Krako-



Zawieszona na stropie jaskini nietoperze podkowce małe (*Rhinolopus hipposideros*)

Fot. Wł. Puchalski



Nacieki lodowe w jaskini Mylnej w Tatrach. Mimo chłodu nawet tu zimą zimują niektóre nietoperze

Fot. Wł. Puchalski

Głowa podkowca małego (*Rhinolopus hipposideros*)

Fot. Wł. Puchalski



wie obserwować można co wieczór przelot kilkuset nietoperzy wzdłuż brzegu Błoni i Parku Jordana od śródmieścia w stronę Woli Justowskiej. Często zresztą tereny łowieckie leżą w obrębie samego miasta. Szczególnie chętnie od- wiedzają nietoperze latarnie uliczne w pobliżu parków miejskich, gdzie zwabione światłem zlatują się ćmy.

Pokarmem wszystkich naszych nietoperzy są owady. Najczęściej zwierzę chwytają je w locie, ale niektóre gatunki, jak na przykład gacek wielkouch, wyspecjalizowały się w zbieraniu gąsienic żerujących na liściach drzew i krzewów. Wielka część pokarmu nietoperzy to szkodniki pól i lasów, a także dokuczliwe komary. Po paru godzinach polowania nietoperze wracają nasycone do dziupli, na strychny lub do jaskiń. Potem jeszcze wylatują na krótko nad ranem i znów wracają, aby wypoczywać już przez cały dzień aż do wieczora.

Tak więc czynne życie nietoperzy przypada na noc, i to często nocie ciemnej, bezksiężycowej. W jaki sposób potrafią one latać w ciemności wśród koron drzew? Jak znajdują drogę w całkowitej ciemności w jaskiniach, będących często ich schronieniem? Orientacja nietoperzy w ciemności była do niedawna zupełną zagadką dla nauki. Trzeba było rozwoju techniki, trzeba było wynalezienia radaru, aby naprowadzić myśl ludzką na właściwe jej rozwiązanie. Nietoperz orientuje się w ciemności — słuchem. Lecąc wydaje on krótkie piski, niesłyszalne dla człowieka, bo będące ultradźwiękami. Fale ultradźwiękowe odbijają się od przedmiotów otoczenia, a zwierzę słysząc echo może się zorientować w położeniu przeszkody. Uszy nietoperzy są niezwykle dobrze rozwinięte. Uszy gacka na przykład są prawie równe długością całej reszcie ciała, co już świadczy o roli słuchu w życiu tych zwierząt. Orientacja nietoperzy w ciemności polega więc na echolokacji. Nie są one ślepe, mają bystre, choć małe, oczka, ale wzrok nie jest im niezbędny do orientacji.

Lato jest dla nietoperzy porą rodzenia i wychowywania młodych. Samice mają jedno, najwyżej dwoje młodych. Rodzą się one w maju lub czerwcu, a odżywiane najpierw mlekiem matki, potem owadami, rosną niezwykle szybko. Początkowo matka zabiera je z sobą, przyczepione do piersi, na polowanie, później pozostawia w kryjówce na czas swego wylotu. Na jesieni młode prawie nie różnią się wielkością od rodziców. Muszą one jeszcze zgromadzić zapasy tłuszczu, aby przygotować się do przetrwania najtrudniejszej pory w życiu nietoperza — zimowania.

Już we wrześniu zdarzają się wieczory tak chłodne, że nietoperze nie wylatują na polowania. W październiku latają tylko najodporniejsze gatunki, a czasem ich piskliwe głosy dają się słyszeć nawet w wieczory z przymrozkami. Ale i te ostatnie loty



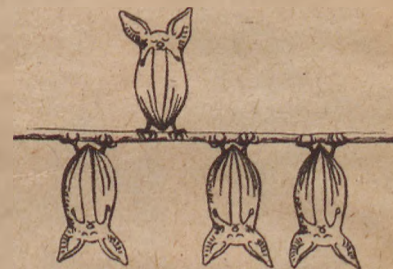
Jaskinia Korolowa w Sokolich Górach jest zimowiskiem licznych nietoperzy. Autor artykułu obserwuje korzenie drzew przenikające przez strop do jaskini.

Fot. Wl. Puchalski

Zimowa kolonia nietoperzy podkowców małych (*Rhinolopus hipposideros*) w jaskini Raclawickiej na północ od Krzeszowic.

Fot. Wl. Puchalski

Rys. S. Hennig



kończą się w listopadzie i do kwietnia prawie nigdy nie widać u nas latających nietoperzy. Co się z nimi dzieje w tym czasie? Zagadnienie to od dawna budziło ciekawość. Od czasu do czasu obserwowano, nawet w dzień, przeloty całych stad nietoperzy, niekiedy lecących wspólnie z jaskółkami, przypuszczano więc, że

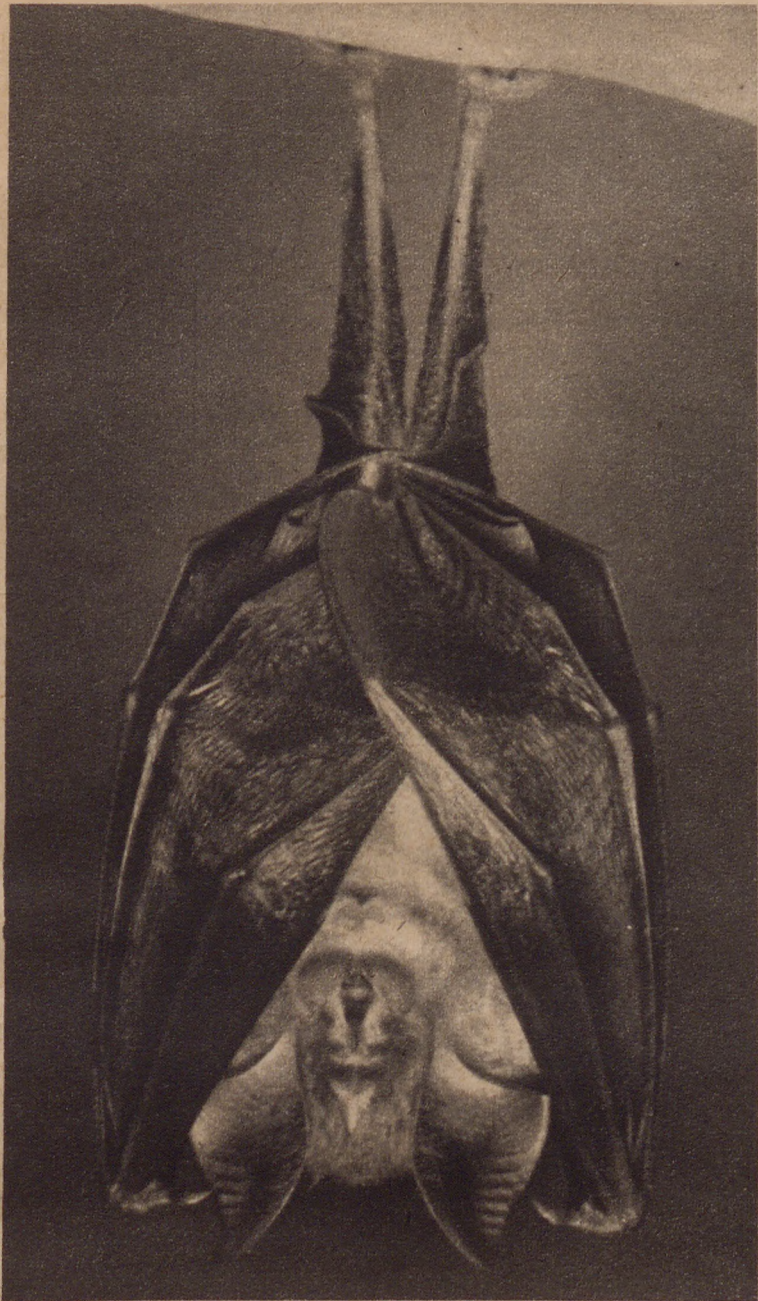
odlatują one jak ptaki wędrowne na południe. Z drugiej strony, w głębokich jaskiniach, w ciepłych piwnicach, a nawet wyjątkowo w obszernych dziuplach w głębi pni starych drzew można znaleźć w zimie śpiące nietoperze. Aby wyjaśnić zagadnienie wędrowek nietoperzy, zastosowano metodę obrączkowania. Nie-

toperze oznaczano małymi aluminiowymi obrączkami z adresem placówki naukowej i numerem, po czym wypuszczano je na wolność. Jeśli taki nietoperz wpadł później w ręce ludzi, to można było stwierdzić, skąd pochodzi i jaką trasę przeleciał. Oczywiście dopiero po oznaczeniu całych setek nietoperzy można liczyć na



Budzący się podkowiec mały (*Rhinolopus hipposideros*). Podkowce związane są z jaskiniami przez cały rok i koczują w ich pobliżu.

Fot. Wł. Puchalski



otrzymanie paru przypadkowych meldunków, ale wytrwała praca i tu doprowadziła już do ciekawych odkryć. Okazało się, że na jesień większość nietoperzy odbywa mniej lub więcej dalekie wędrówki. Lecą one ku południowi, szukając w cieplejszych okolicach dobrego schronienia zimowego. Być może, niektóre gatunki odlatują tak daleko na południe, że mogą prowadzić czynne życie w ciągu całej zimy. Nasze nietoperze nie lecą jednak tak daleko. Większość z nich wędruje na teren Węgier, Czechosłowacji, a nawet zatrzymuje się w południowych rejonach Polski, gdzie liczne jaskinie w okolicy Krakowa, w Beskidach czy w Tatrach zapewniają im odpowiednie kryjówki. Tutaj zapadają one w sen zimowy. Przetrwać kilka miesięcy bez jedzenia w zimnym wnętrzu jaskini to nie było problem. Nietoperze przystosowały się do tych warunków życia przez umiejętność zdumiewającego obniżenia poziomu swoich funkcji życiowych. Ich temperatura spada do wysokości temperatury otoczenia, a więc do kilku stopni powyżej zera, uderzenia serca są powolne, oddechy następują czasem co parę minut. Mimo tak oszczędnej gospodarki nietoperze, które na początku zimowania są ciężkie i tłuste, wittają wiosną wychudzone i wyczerpane.

Jeśli odbędziemy wycieczkę zimą do jednej z jaskiń Jury Krakowskiej lub Karpat, to po uważnych poszukiwaniach na pewno znajdziemy zimujące tam nietoperze. Już blisko otworu, nawet w zasięgu mrozu, spotkać można śpiącego mroczka pozłocistego. To jeden z najładniejszych naszych nietoperzy: jego lśniąca, jedwabiste futerko składa się z długich włosów o złotawym połysku. Gatunek ten sięga najda-

lej na północ ze wszystkich nietoperzy, bo aż poza koło polarne. Ku południowi Europy spotykany bywa tylko w górach, u nas najczęstszy jest w Tatrach. Trochę dalej w jaskini, schowane w szczelinach, śpią mopki i gacki. Przebywają one cały rok samotnie, czasem tylko w niewielkich grupach. Dopiero głęboko w jaskiniach, tam gdzie utrzymuje się stała temperatura  $+5-7^{\circ}\text{C}$ , zimują podkowce, nocki orzęsione i nocki duże. Wszystkie one lubią życie gromadne i nawet zimą spędzają w koloniach. Tam, gdzie mają spokój, gdzie nikt nie przerywa im snu, ich kolonie zimowe liczą nieraz kilkaset osobników. Podkowce związane są z jaskiniami i przez cały rok koczują w ich pobliżu, w tej samej okolicy. Inne są obyczaje ncocków dużych: część ich tylko, zwłaszcza okazy młode, zimuje w naszych jaskiniach, większość leci dalej na południe, poza łuk Karpat. Za to w lecie tworzą one ogromne kolonie na strychach kościołów i zamków, gdzie samice spędzają wspólnie okres rodzenia i wychowywania młodych.

Mozelne badania uczonych wyjaśniły, że nietoperze są zwierzętami ogromnie pożytecznymi. Zamiast prześladować je i tępić, jak to niestety zdarza się jeszcze i dziś, powinniśmy otaczać je opieką, a przede wszystkim zapewnić im zarówno w ich koloniach letnich, jak i w zimowiskach spokój potrzebny do życia. Bez ich cichego, bezszelestnego lotu lasy wieczorem byłyby puste. Każdy, kto wędrował wiele po pozbawionym życia wnętrzu jaskiń, wie, jak miło jest spotkać tam istotę żywą — zawiniętego w błony letne, śpiącego spokojnie nietoperza. Pozwólmy mu żyć dalej swym tajemniczym, a tak ciekawym i niezwykłym życiem.

KAZIMIERZ KOWALSKI

ZYGMUNT PECHERSKI

## ŁUK TRIUMFALNY

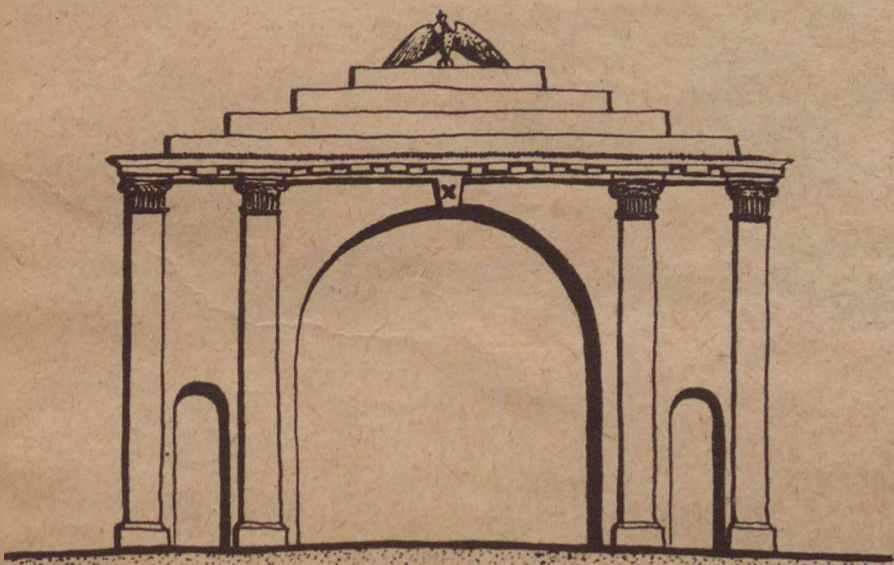


niby w Rzymie czy Paryżu, stoi w jednym z miast Polski łuk triumfalny. Nie jest to ani Warszawa, ani Kraków, ani Poznań.

lecz małe miasteczko wielkopolskie Ślesin.

„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami“ mówi Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. W roku 1812 Wielka Armia, wkraczająca do Polski od zachodu, witana była z niezwykłym entuzjazmem. Zapal patriotyczny był powszechny, lecz chyba najbardziej rozgrzał serca i umysły mieszkańców Ślesina. Gdy mieszczanie tamtejsi i okoliczna ludność dowiedzieli się, że przez Ślesin przeciągnie pochód Francuzów, wzniesli nad traktem łuk triumfalny na jego szczycie umieszczając orla napoleońskiego.

Tradycje przemarszu armii Bonapartego przechowywane są w Ślesinie z dużym pietyzmem. Główna ulica miasteczka nosi imię Napoleona, a pamiątkowy łuk triumfalny ma licznych obrońców. Gdy budowano most na przesmyku łączącym jezioro ślesiańskie i wąsoskomikorzyskie, okazało się koniecznym podniesienie poziomu szosy. Samochody nie mogły się już teraz zmieścić pod łukiem triumfalnym, któremu wobec tego zagroziło zniszczenie. Ślesinianie zdolali go jednak przed rozbiórką obronić — szosę rozdzielono na dwa tory, z których jeden przebiega pod łukiem, a drugi omija go z boku.



Rys. J. Milewicz

nie mając niestety zdjęcia przedstawiającego łuk triumfalny w Ślesinie, na razie notatkę ilustrujemy rysunkiem, lecz w przyszłości chętnie zamieścimy fotografię, jeśli tylko ktoś z czytelników zechce nam ją nadesłać.

# Z DZIEJÓW POMORSKIEGO SZKUTNICTWA

Przemysław Smolarek

W XI i XII wieku, przez około 150 lat. Słowianie pomorscy byli na wodach zachodniego Bałtyku bodaj najgroźniejszą potęgą morską. Co więcej — hegemonii tego rodzaju flota państwa polskiego nigdy później nie zdołała uzyskać.

Nie ma przesady w twierdzeniu, że badania nad dziejami polskiego skutnictwa stanowiły do niedawna jedną z najsłabiej opracowanych dziedzin historii naszej kultury materialnej. Widzimy to szczególnie wyraźnie w odniesieniu do okresu wczesnego średniowiecza. A przecież — rzecz charakterystyczna — właśnie czasy do XIII wieku stanowią interesujący i ważny etap w rozwoju rodzimej sztuki budowania statków.

Nie próbując szczegółowo wyjaśnić tu wszystkich przyczyn niedorozwoju naszej wiedzy marynistycznej, powiedzmy o jednej z nich, choć nie najważniejszej, lecz istotnej.

Podstawą studiów nad historią skutnictwa są przede wszystkim znajdujące w torfowiskach, w ziemi nad rzekami, jeziorami i na wybrzeżach morskich szczątki łodzi i statków, budowanych przed wiekami. Wraków takich znaleziono oczywiście najwięcej na tych terenach, które szczególnie intensywnie uczestniczyły w rozwoju żeglugi, tj. na Pomorzu. Tymczasem całe niemal połud-

niemieckich w sposób tendencyjny interpretowali znaleziska łodzi słowiańskich na Pomorzu, starając się przypisać je germańskim Wikingom skandynawskim. Pod tym kątem rekonstruowano wczesnośredniowieczne łodzie pomorskie, upodabniając je świadomie do jednostek skandynawskich. Okoliczność, że budową swą łodzie pomorskie różniły się wyraźnie od konstrukcji statków żeglarzy z północy, nie sprawiała kłopotu niemieckim marynistom. W zależności od potrzeby nie wahali się oni obciąć „zbędne”, oryginalne elementy zabytków i na ich miejsce domontować takie nowe, które „podbudowywały” teorię o rzekomo germańskim pochodzeniu łodzi słowiańskich. Nie bądźmy gołoślni: taką metodą pracował np. znany badacz Hugo Lemcke, odbudowując w Szczecinie w r. 1905 łódź, znaną na kilka lat przedtem nad jeziorem Łebskim. Łódź ta znajduje się obecnie w Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie. Kiedy w r. 1931 odkryto również nad jeziorem Łebsko, na południe od Łeby, inną łódź i gdy po jej gruntownym zbadaniu okazało się, że jest ona typowym przykładem skutnictwa słowiańskiego, uczestnicy prac wykopaliskowych prowadzonych pod kierunkiem dra Ottona Kun-

okrętów, zresztą doskonały fachowiec, nie miał on wątpliwości, spod czyjej ręki wyszły te jednostki. Mimo to w publikacji swej, wydanej w r. 1934 pt. *Die Bootsfunde von Danzig-Ohra aus der Wikingerzeit*, przypisał je Germanom. Dlaczego? Ponieważ — jak to określił delikatnie w prywatnym liście współpracujący z nim prof. Wolfgang La Braume, ówczesny dyrektor muzeum w Gdańsku — „Słowianie są mu niesympatyczni”<sup>1</sup>.

Tych kilka przykładów przytoczyłem tu w celu wykazania, jak trudne jest obecnie wydobywanie prawdy i właściwe oświetlenie historii słowiańskiej techniki skutniczej. Nie zapominałbym bowiem, że fachowe publikacje niemieckich marynistów były właściwie jedynym, niejako urzędowym źródłem, na którym opierali się uczeni skandynawscy i polscy. Czyż można było przypuszczać, że źródła te są celowo zniekształcone?

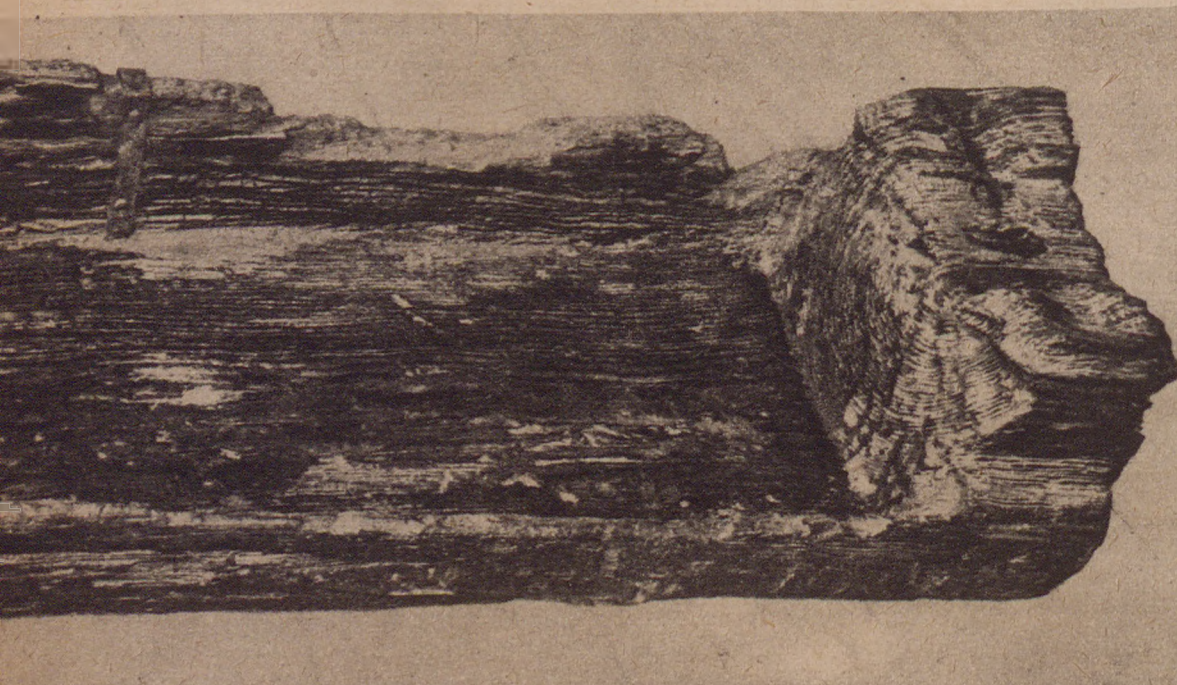
Zespoły naukowców polskich prowadzą dzisiaj na wybrzeżu liczne prace wykopaliskowe, np. w Gdańsku, Kołobrzegu, w Szczecinie i na Wolinie. Były to przed tysiącem lat ważne ośrodki handlowe Słowian pomorskich, toteż, odkryto tu, między innymi, sporo nowego cennego materiału, umożliwiającego poszerzenie naszej wiedzy o żegludze Słowian.

mieszkiwane przez plemiona zachodnio-słowiańskie już z natury swej doskonale nadawały się do uprawiania żeglugi. Wielkie szlaki wodne: Odra, Wisła i ich dopływy, łączyły z morzem rozległe obszary polskiego zaplecza. Pierwszym znanym typem łodzi, jakiego używano na naszych wodach śródlądowych, była tzw. d ł u b a n k a.

Były to łodzie wykonane z jednego pnia, zazwyczaj dębowego. Dłubanki znane są zresztą ze wszystkich niemal krajów europejskich, a także z innych kontynentów. Niektóre z nich datuje się na epokę kamienną. Te prymitywne jednostki cechuje jako typ rzadko spotykana długo-wieczność — produkowali je bowiem rybacy w niektórych rejonach (np. nad jeziorem Aegri w Szwajcarii i na Polesiu) jeszcze w XX wieku.

W zależności od posiadanych narzędzi pracy dłubanka w rękach producenta uzyskiwała rozmaite kształty. Oczywiście na formę jej wpływały także warunki eksploatacji, zwłaszcza zaś przeznaczenie. Generalizując rzecz, typologicznie najstarszą formę zdaje się reprezentować dłubanka półokrągła. Mianowicie dno i boki łodzi tworzył w sposób naturalny pień, z którego jednostkę wykonano. Dziób i rufa są tu tylko ociosane z grubsza, nie różnicowane. Z biegiem czasu w środkowej części łodzi pojawiła się gródź, której funkcja polegała m. in. na wzmocnieniu łodzi, zapobieżeniu ewentualności przełamania się. Precyzyjniejsze narzędzia metalowe wymagane były przy produkcji dłubanek typu płaskodennych, które z reguły, prócz znacznie cieńszych boków i dna niż w półokrągłych, mają już wyraźnie wyprofilowany dziób i rufę, jakkolwiek nie zawsze można mówić o różnicowaniu funkcjonalnym tych partii. Trzecią, ostatnią, najbardziej wykształconą typologicznie formę przedstawiają dłubanki czółnowate, których końce były lekko wyostrome i nieco podciągnięte ku górze.

Największe zastosowanie miały dłubanki w rybolówstwie. Rozwój wymiany towarowej, wzrastające potrzeby transportowe przyspieszały ewolucję środków komunikacji wodnej. Tymczasem możliwości rozwojowe dłubanki ograniczone były przez sam pień drzewa, materiał z którego je produkowano. Były one siłą rzeczy długie, wąskie i niewysokie. Pojemność ich można było zwiększyć do pewnego momentu przez dobieranie potężnych okazów drzew, lecz zbyt długie, więc i zbyt ciężkie dłubanki traciły



Rufa łodzi — dłubanki typu płaskodennych. Ze zbiorów w Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie. Fot. K. Haska

niowe wybrzeże Bałtyku (z wyjątkiem przedwojennego polskiego skrawka), a więc właśnie dawne siedziby słowiańskie, pozostawały do niedawna pod polityczną zwierzchnością Rzeszy. Tym samym priorytet w badaniach archeologiczno - marynistycznych przypadł tu uczonej niemieckim.

Fakt ten niestety bardzo niekorzystnie wpłynął na kształtowanie się poglądów na skutnictwo

Monachium), aby nie przysparzać sobie trudności, po prostu łódź ponownie zakopali w ziemi.

No, cóż — los bywa kapryśny. W latach 1933—1934 natrafiono w czasie robót melioracyjnych w Orunii pod Gdańskiem na dalsze trzy wczesnośredniowieczne łodzie słowiańskie. Ich opracowaniem zajął się profesor b. gdańskiej uczelni technicznej, Otto Lienau. Jako inżynier budowy

Analizując zgromadzony dotychczas materiał, spróbujmy pokrótce naszkicować rozwój słowiańskiej techniki skutniczej do XIII wieku.

Żegluga morska na Bałtyku, podobnie jak na innych morzach, rozwinęła się z żeglugi przybrzeżnej i śródlądowej. Człowiek, zanim wyruszył w rejs na pełne morze, długo zdobywał doświadczenie nautyczne pływając po rzekach i jeziorach. Tereny za-

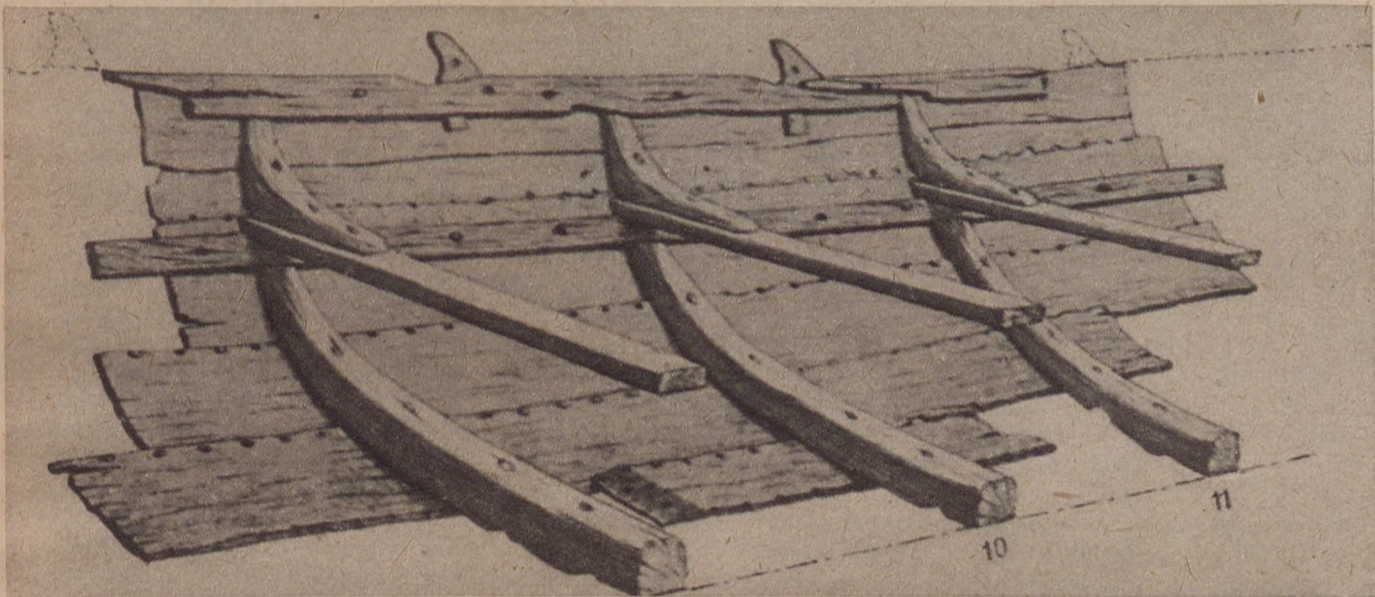
<sup>1</sup> Powyższe fakty ujawnione zostały dzięki odnalezieniu w archiwum Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie korespondencji wybitnych badaczy niemieckich w tzw. *Fundakten*. Ogłoszone zostały one już częściowo przezmnie w komunikacie pt. *W sprawie rekonstrukcji wczesnośredniowiecznych łodzi pomorskich* w „Kwartalniku Historii Kultury Materialnej”, 1956, z. 1.





Stępka łodzi wczesnośredniowiecznej  
znalezionej w roku 1906 koło Mech-  
linek.

Fot. K. Haska



Fragment usztywnienia poprzecznego  
łodzi wczesnośredniowiecznej tzw.  
Orunia I (rekonstrukcja).



Fragment stępki i stewy łodzi wczes-  
nośredniowiecznej tzw. Orunia III  
odkrytej w roku 1934 pod Gdańskiem.

Fot. K. Haska



Kleпки poszycia burty łodzi słowiań-  
skiej z XIII wieku znalezionej  
w Gdańsku w czasie badań wykopa-  
liskowych.

Fot. K. Haska

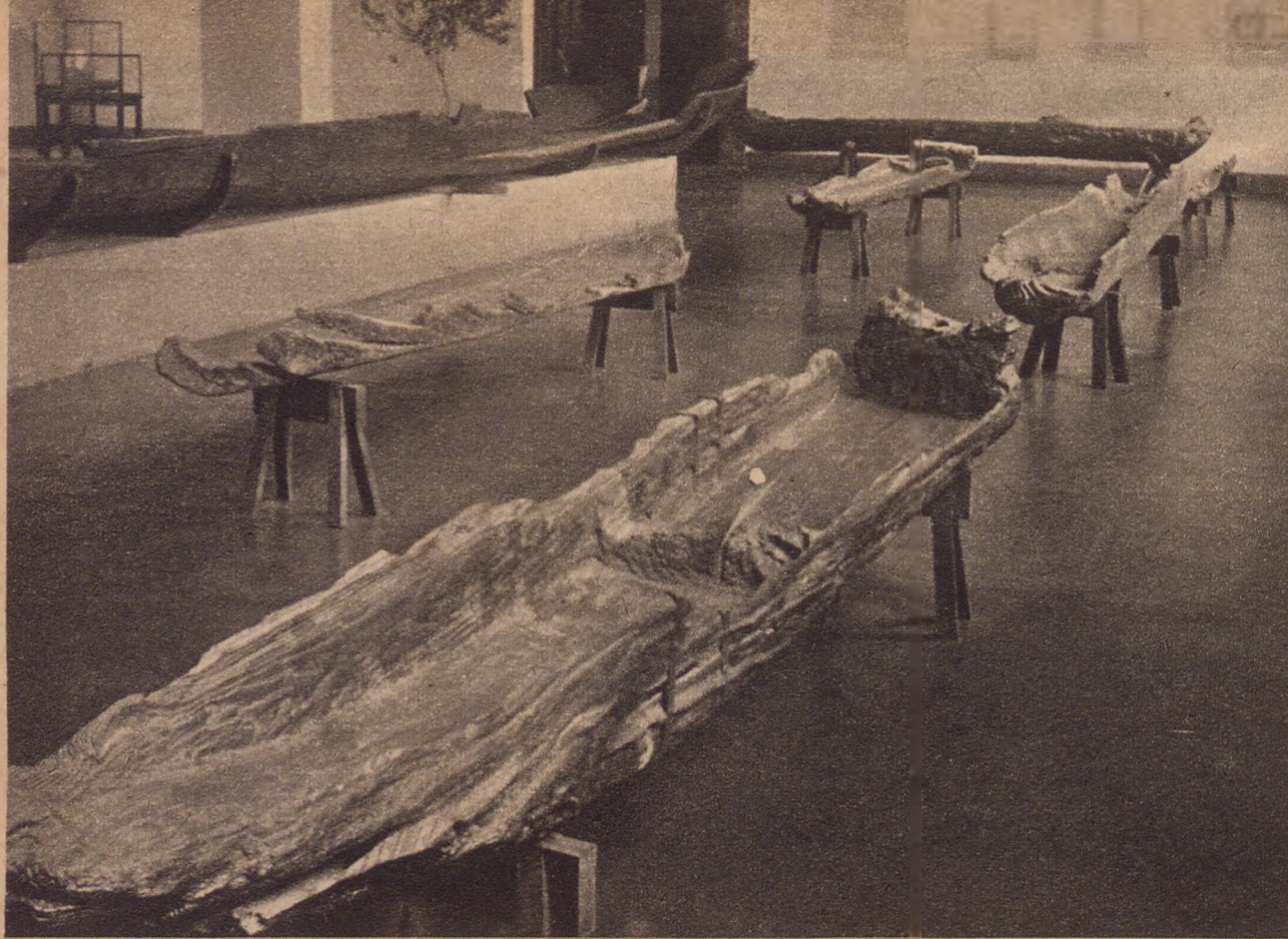
swoje walory dobrej żeglowności, zwłaszcza na niewielkich rzecz-  
kach.

Istnieje kilka teorii tłumaczą-  
cych, w jaki sposób nastąpiło  
przejście od dłubanki do łodzi  
klepkowej. Jednostki, która  
by stanowiła stadium przejściowe  
w tej ewolucji, na ziemiach pol-  
skich do tej pory nie znaleziono.  
Dość sugestywna jest koncepcja,  
według której w celu zwiększe-  
nia ładowności nabijano na boki  
dłubanki, po obu stronach, szero-  
ką deskę. W ten sposób, stopnio-  
wo, sama dłubanka przerodziła  
się w klepkę denną, później w  
stępkę, natomiast boki łodzi u-  
tworzone zostały z nabitych na  
siebie metodą zakładkową kilku  
rzędów klepek. Koncepcja ta  
uzyskała częściowe potwierdzenie  
dzięki odkryciom dokonany-  
m w Skandynawii, a m. in. w miejsco-  
wości Hjortspring na duńskiej  
wyspie Alsen w r. 1921.

Pierwsze łodzie klepkowe, ja-  
kie znamy z krajów bałtyckich,  
kształtem swym przypominały  
dłubanki, lecz zbudowane były  
z kilku bardzo szerokich masy-  
wnych desek, z których jedna twor-  
zyła dno. Poszczególne klepki  
zszywano między sobą sznurem  
i odpowiednio uszczelniano. Ło-  
dzie te miały już prymitywne  
wrege, spełniające funkcję u-  
sztywnienia poprzecznego.

Najstarsza z łodzi znalezionych  
na terenie Polski, odkryta została  
pod Fromborkiem w r. 1895; da-  
towana jest na VII wiek n. e.  
Klasyfikacja ta wzbudza jednak  
zastrzeżenia. Łodzie odkryte na  
Pomorzu, jak można sądzić, po-  
chodzą przeważnie z X—XIII  
wieku. Są to jednostki przeznac-  
zone do żeglugi śródlądowej  
bądź przybrzeżnej, najczęściej  
frachtowe. Warunki eksploatacji  
znalazły wyraz w ich konstrukcji,  
przystosowanej do trasy i prze-  
znaczenia. Prawie całkowicie  
zbudowano je z dębiny, w zasa-  
dzie bez zastosowania nitów że-  
laznych.

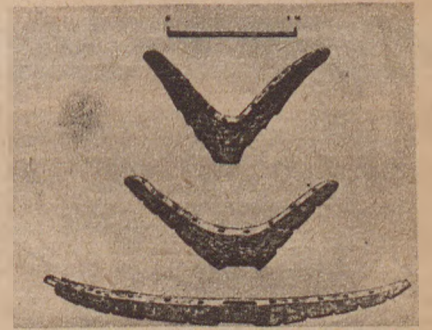
Fundamentem, na którym  
wznosiła się niejako cała kon-  
strukcja, była stępka. Stępki ło-  
dzi słowiańskich miały przekrój  
w kształcie litery T. Pozioma  
część, najszersza na śródkręciu,  
zwężała się w obu końcach. Złą-  
cza stępki ze stewami są zawsze  
boczne, skośne. Stewy, będące  
przedłużeniem stępki, miały prze-  
krój trójkąta zwróconego pod-  
stawą ku wnętrzu łodzi. Uszty-  
wnienie poprzeczne łodzi tworzyły  
wrege i lawy wiosłarskie. Wrege  
wykonywano z naturalnie wy-  
rośniętych konarów dębowych.  
Niekiedy tylko wregę składała  
się z dwóch lub trzech elementów.  
Na zewnętrznej krawędzi wregi  
zaopatrywano w charakterystycz-  
ne nacięcia, dostosowane do za-  
kładkowej metody poszycia burty.  
Szkielet łodzi poszywano cienki-  
mi klepkami, montowanymi, jak  
wspomniałem, na zakładkę. Klepki  
zbijano kołkami drewnianymi  
i uszczelniano odpowiednio spre-  
parowanym mchem. W kilku  
wrakach, w Czarnowsku, Char-  
browie, Bągarcie i Fromborku,  
znaleziono prymitywne gniazda  
masztowe, niemniej jednak pod-



Łódzie — dłubanki w ekspozycji obrazującej początki słowiańskiej żeglugi. Dział morski w Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie.

Fot. K. Haska

Wręgi łodzi słowiańskiej znalezionej w Charbrowie, według H. Lemckego. Łódzie poszyte były klepkami montowanymi na zakładkę.



stawową siłą napędową byli w nich wiosłarze. Oczywiście nie wyklucza to też bynajmniej istnienia łodzi żaglowych. O tym, że Słowianie takie łódzie posiadali, wiemy dokładnie ze współczesnych źródeł pisanych, kronik duńskich, jak na przykład z kroniki Saksa Grammaticusa, bądź pomorskich, tzw. żywociarzy biskupa Ottona bamberskiego.

Z materiału archeologicznego, którym obecnie dysponujemy, możemy wyprowadzić wniosek o wykształceniu się regionalnych ośrodków skutniczych na naszym

wybrzeżu. Jeden z nich lokalizował się w okolicach jeziora Łebskiego. Łódzie tego rejonu cechowała specyficzna metoda wykonywania nacięć na wręgach, rodzaj gniazda masztowego oraz większa niż u innych szerokość łodzi. Ów płaski, szeroki, kształt determinowały zapewne warunki wodne dorzecza jeziora Łebsko. Dla jednostek ośrodka gdańskiego typowy jest m. in. sposób wykonywania stew, tzw. łączniki między poszyciem a stewami, metoda zbijania klepek itd. Dość odrębny charakter wykazuje

ośrodek pruski, w którym do zbijania klepek używano nitów żelaznych, a do uszczelniania — sierści zwierzęcej.

Z końcem XII wieku potęga merska Słowiańszczyzny zachodniej załamuje się. Ostatnia, wielka batalia morska, jaką stoczyła pomorska flota w Zatoce Gryfijskiej w r. 1184, zakończyła się ciężką klęską. W handlu morskim na Bałtyku wysuwają się stopniowo na czoło kupcy hanzeatyccy. Hanzeaci rozpowszechniają na Bałtyku nowy typ statku — kogę, najbardziej podów-

czas odpowiadającą aktualnym potrzebom handlowym. Wieki XIII—XV to czasy bezspornego panowania tego typu w bałtyckiej żegludze frachtowej.

Szkatelnicy pomorscy produkowali swe łódzie w dalszym ciągu. Służyły one jednak teraz przede wszystkim rybołówstwu i żegludze rzecznej. O konserwatyzmie mistrzów pomorskich świadczy fakt, że pewne typy łodzi, choć zmodernizowane, przetrwały w niektórych miejscowościach na Pomorzu do XX wieku.

## JUBILEUSZ POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

DOKOŃCZENIE

staryczny, opisy zabytków i osobliwości. Pocztówki PTK z komentarzem na odwrocie również popularyzowały piękno Polski. Organizowano muzea regionalne, liczne odczyty i wycieczki. Krajoznawstwo dzięki PTK stało się u nas bardzo popularne wśród inteligencji. Oddziały prowincjonalne prowadziły poszukiwania krajoznawcze, zrodziły ruch popularnonaukowy w wielu ośrodkach, ujawniły licznych działaczy prowadzących własne badania. Wyniki tych badań ogłoszono w publikacjach różnego rodzaju.

Swą pracą popularnonaukową i oświatową w okresie niewoli Polskie Towarzystwo Krajoznawcze zasłużyło sobie na chlubną nazwę nieoficjalnego Ministerstwa Polskości. O tym musimy przede wszystkim pamiętać przy omawianiu dzia-

łalności PTK sprzed pierwszej wojny światowej.

W latach pierwszej wojny, mimo niezwykle trudnych warunków, A. Janowski obejmuje młodzież stolicy działalnością krajoznawczą. Pół miliona dzieci i młodzieży korzystało z wycieczek, odczytów i pogadanek krajoznawczych. W niepodległej Polsce PTK zwróciło również baczną uwagę na młodzież, powołując do życia sekcję kół krajoznawczych młodzieży szkolnej pod przewodnictwem prof. Leopolda Węgrzynowicza. Koła krajoznawcze młodzieży mają za sobą ogromny dorobek, częściowo publikowany we własnym organie „Orli Lot”. Dorobek ten wymaga jednak osobnego omówienia: nie mieszcząc się w ramach niniejszego szkicu. Należy wszakże podkreślić, że od zarania swego istnienia PTK nie zaniedbywało nigdy pracy wśród młodego pokolenia, uważając ją za nieodzowny warunek skuteczności pracy krajoznawczej w ogóle.

Po roku 1920 niektóre prace posiadające wartość dla nauki przejmują od PTK specjalnie do tych spraw powołane instytu-

cje, a organizację turystyki przejmuje z ramienia państwa referat turystyki przy Ministerstwie Robót Publicznych, kierowany przez dra Mieczysława Orłowicza. W pierwszych latach niepodległości Towarzystwo publikuje jeszcze szereg prac dotyczących ziem mało znanych, wydaje *Monografie Wisły*, z czasem jednak publikacje dalsze ograniczają się do artykułów umieszczanych na łamach „Ziemi”.

Pragnąc mieć wpływ na turystykę, Towarzystwo przez pewien czas utrzymuje kontakt organizacyjny z biurem turystycznym „Poltur”, działającym pod egidą PTK. Pracom tego biura usiłuje nadać kierunek krajoznawczy w duchu ideologii PTK.

W tym czasie Towarzystwo wiąże się ściśle z reprezentowaną przez prezesa A. Patkowskiego ideą regionalizmu. Regionalizm propagował samodzielność prowincji polskiej w różnych dziedzinach, budzenie sił twórczych drzemających po prowincjonalnych ośrodkach. Koncepcja ta była bliska polskiemu krajoznawstwu, dlatego

wśród działaczy PTK znalazła żywy oddźwięk.

Zwołany przez PTK pierwszy ogólnopolski kongres krajoznawczy w Poznaniu (12—13. VII. 1929) dał syntezę teorii krajoznawstwa polskiego. Wśród licznych wniosków uchwalono następujący: „Kongres Krajoznawczy stoi na stanowisku, że krajoznawstwo jako ruch społeczny wyływa z uczucia, potrzeb umysłowych i gotowości do czynu i jako takie stać się winno podstawą programową pracy oświatowej we wszystkich środowiskach wsi i miasta, z uwzględnieniem naturalnych odrębności regionalnych”.

Gdy w roku 1950 z połączenia PTK z PTT powstało Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, przejęło ono dorobek organizacyjny Polskiego Tow. Krajoznawczego i PTT. Życzeniem dawnych działaczy PTK i PTT było, aby nowa organizacja nic nie zatraciła z dorobku ideowego obu instytucji, a turystyce dała dobre podstawy krajoznawcze.

Kazimierz Staszewski



← Ozorków koło Łodzi. Kamienica mieszczańska z początku ubiegłego stulecia. Mieściły się tu niegdyś: hotel, restauracja i kawiarnia.

Fot. ze zbiorów autora

↓ Aleksandrów koło Łodzi. Klasycystyczny ratusz zbudowany w 1824 r. — przykład architektury użyteczności publicznej.

Fot. ze zbiorów autora

↓ (U dołu) Ozorków koło Łodzi. Fragment domu sukiennika — jeden z nielicznych zabytków tego rodzaju, zachowanych do dziś bez przeróbek.

Fot. ze zbiorów autora

## ARCHITEKTURA MIAST FABRYCZNYCH REGIONU ŁÓDZKIEGO

Stefan Rosiak

Stolicę naszego przemysłu włókienniczego, Łódź, otacza cały zespół sporych miasteczek i osad przemysłowych. Gdy spojrzemy na mapę, w najbliższym sąsiedztwie Łodzi zauważymy Zgierz, Pabianice Aleksandrów, Konstantynów, nieco dalej Ozorków, Zduńską Wolę, a jeszcze dalej słynny ze swych wyrobów wełnianych Tomaszów Mazowiecki. Wraz z Łodzią tworzą one właśnie ów wielki ośrodek włókienniczy w centrum Polski. W miastach tych, z wyjątkiem Pabianic, gdzie znajduje się zabytkowy kościół gotycki i renesansowy pałac pobiskupi, na próżno byśmy poszukiwali zabytków architektonicznych w pojęciu potocznym, bo nawet pałace fabrykantów, wzniesione po dorobieniu się przez nich fortuny, nie grzeszą umiarem ani pięknem. W regionie łódzkim zabytki architektury, o których będzie mowa, odpowiadają charakterowi epoki, w której powstały — epoki początków łódzkiego włókiennictwa. Niektóre z fabrycznych miast regionu łódzkiego istniały od wieków, innych na próżno byśmy szukali na mapach z przełomu XVIII—XIX stulecia.

Mają jednak wspólną cechę: powstały i rozwinęły się jako ośrodki przemysłowe w pierwszej połowie XIX w. Los z niektórymi z nich obszedł się niezbyt łaskawie, inne wysunęły się na plan pierwszy i rozwojem swym zaćmiły sąsiednie. Ozorków, będący właśnie kolebką przemysłu włókienniczego, wskutek nieprzychylnych warunków, w pewnym momencie zatrzymał się w rozwoju i pozostał małym prowincjonalnym miasteczkiem przemysłowym. Jeszcze gorzej obszedł się los z takimi miastami, jak Aleksandrów czy Konstantynów, które w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia straciły godność miast i jako osady zostały włączone pod względem administracyjnym do zbiorowych gmin wiejskich.

Wiemy o tym, że w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej na ziemiach naszych rozbudził się pęd do tworzenia przemysłu. Magnaci w swych dobrach, opierając się na sile roboczej chłopów pańszczyźnianego, tworzą najróżnorodniejsze „manufak-

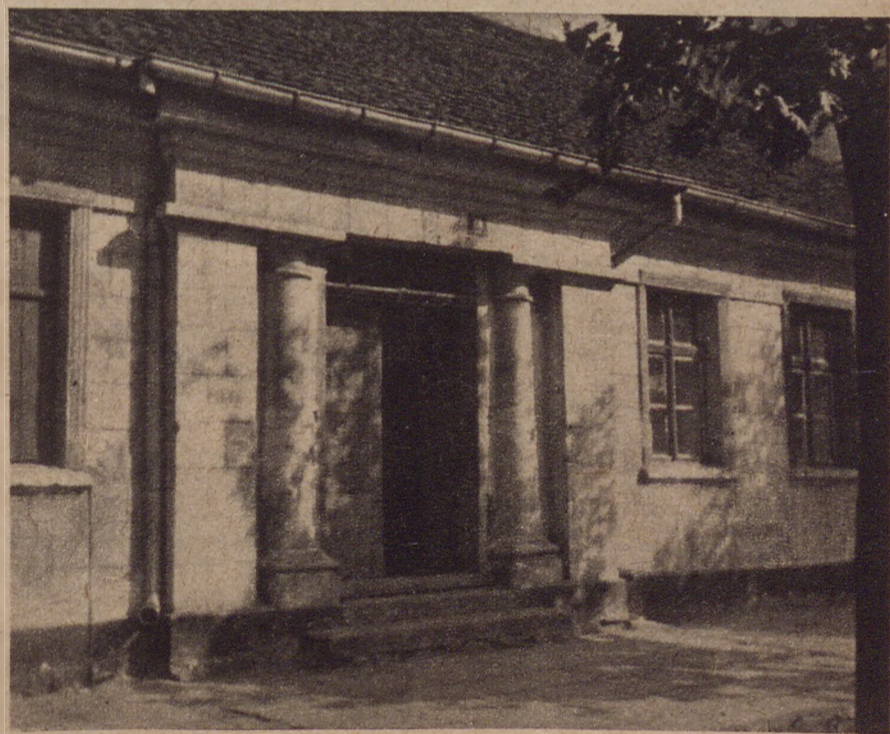
tury”, często nie odpowiadające potrzebom rynku, często będące wynikiem snobizmu założyciela, bez liczenia się z realnymi potrzebami krajowego konsumenta. Większość tych zakładów nie przeżyła swych twórców lub upadła z ich śmiercią. Pozostały tylko tradycje tych poczynania.

I dopiero po upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, w nowych warunkach politycznych i gospodarczych, wśród ludzi światłych tej epoki budzi się myśl stworzenia na nowych zasadach przemysłu, przede wszystkim produkcji sukna, artykułu masowego zapotrzebowania.

Za inicjatora tworzenia przemysłu w regionie łódzkim należy uważać Ignacego Starzyńskiego, postać w nauce zapomnianą, człowieka o postępowych nowoczesnych poglądach, jak świadczą o tym jego wystąpienia na sejmie rewolucyjnym 1830/31 roku. W nieznanym nam bliżej okolicznościach nad brzegami Bzury w Ozorkowie postanawia on stworzyć ośrodek przemysłowy, dokąd w 1807 roku sprowadza pierwszych sukienników i innych rzemieślników.

W ślad za nim, już w epoce Królestwa Polskiego, pójdzie inicjatywa rządowa; powstaną zakłady przemysłowe w Zgierzu, Pabianicach, Łodzi. W ślad za nim pójść też prywatni właściciele ziemscy: Bratoszewski zakłada Aleksandrów, Złotnicki — Zduńską Wolę, Okołowicz — Konstantynów, Ostrowski — Tomaszów. Wszystkie noszą wspólne cechy nadające owym miastom specyficzny wygląd. W niektórych z miast cechy te występują wyraźnie i rzucają się w oczy, w innych należy ich dopiero szukać i wykrywać w toku późniejszej przebudowy.

W związku z tworzeniem ośrodków przemysłowych, rozwija się planowanie przestrzenne osiedli, wytycza się piękne place rynkowe, szerokie i równe ulice, a nawet — jak na przykład w Ozorkowie — tworzy się szerokie aleje spacerowe, których nie powstydziłoby się niejedno miasto naszej epoki. Poczynania ówczesnych urbanistów budzą uznanie i podziw jeszcze dziś (por.: W. Ostrow-



ski Świetna karta z dziejów planowania w Polsce).

W ślad za planowaniem szła i zaludowa. W myśl założeń urbanistycznych oraz dla zmniejszenia kosztów opracowano projekty budynków typowych. Budynki te mimo swej masowości posiadają cechy odrębne, nie obciążone piętnem banalności. Poczynając od domów mieszkalnych, poprzez budynki fabryczne, hale tar-

gowe, obiekty municypalne, świątynie różnych wyznań — widzimy w zachowanych zabytkach wspólne cechy stylowe i wyczuwalny jednolity charakter nie pozbawiony wartości architektonicznej.

Dominujący w swych wpływach klasycyzm Królestwa święci tu swe tryumfy. Budynki mieszkalne, drewniane czy murowane, w większości charakteryzują dachy naczółkowe,

kryste pierwotnie dachówką karpiówką (którą w nowszych czasach częstokroć zastąpiono papą). Domy murowane, a nawet drewniane posiadają fasady zaakcentowane podziałami z neorustyki, naśladującej okładzinę kamienną. Plany budynków prostokątne, z sienią najczęściej symetrycznie usytuowaną na osi; od frontu często występuje podcienie, w wielu wypadkach wsparte na kolumnkach. Nad wejściem od frontu znajduje się

pięterko, tzw. facjatka zwieńczona przeważnie trójkątnym przyczółkiem. Stolarkę okienną sześć- lub ośmiokwadratową obecnie w wielu obiektach unowocześniono nie bez szkody dla zabytkowego charakteru domów.

Większe budynki mieszkalne czy fabryczne o tych samych elementach posiadają duży umiar proporcji. Do dziś zachowały się w Aleksandrowie hale targowe, zwane wówczas jatkami mięsnymi lub piekarskimi, z efek-

townym podcieniem opartym na kolumnadzie. Ratusze swym zewnętrznym wyglądem mówią o powadze urzędu, który w nich się mieścił.

Fotografie nie zawsze oddają piękno tych budynków, które ręka ludzka oszpeciła różnymi przybudówkami, przeróbkami, ale które przetrzymały to wszystko i harmonią kształtów swych, pięknem proporcji dziś jeszcze wzbudzając podziw.

Stefan Rosiak



← Aleksandrów koło Łodzi. Kolumnada tzw. jatek mięsnych i chlebowych. Tego rodzaju obiekty handlowe budowane były niemal we wszystkich ówczesnych miastach fabrycznych okręgu łódzkiego.

Fot. ze zbiorów autora



↑ Ozorków koło Łodzi. Sień podcieniowa kamienicy mieszczącej. Przedsiębiorstwo remontowe, którego tablicę widzimy na drzwiach, zniszczyło zabytek zastępując dachówką papą.

Fot. ze zbiorów autora



← Aleksandrów koło Łodzi. Drewniane domki tkaczy, typowe dla mniejszych miast fabrycznych.

Fot. ze zbiorów autora

## POCZĄTKI PRZEMYSŁU POWIATU OPOLSKIEGO

ALFRED HORNIG

Przemysł powiatu opolskiego w przeciwieństwie do innych naszych rejonów przemysłowych nie może poszczycić się zbyt dawnymi tradycjami. Dopiero na drugą połowę osiemnastego wieku przypadają jego początki.

Najdawniejsza jest historia tutejszego hutnictwa i metalurgii. Zaczyna się ona w roku 1753 z chwilą powstania istniejącej zresztą do dziś huty Małapanew. Chociaż hutnictwo na Śląsku Górnym istniało znacznie dawniej, bo np. w połowie szesnastego wieku w powiecie lublinieckim stało około 30 kuźnic, to jednak młodsze hutnictwo opolskie wyprzedziło je szybko nowoczesnością sposobu produkcji. Możemy zatem uważać Opolszczyznę za kolebkę wielkiego przemysłu śląskiego.

W osiemnastym wieku powstają dalsze huty, kuźnice i fryszerki w Zagwizdzu, Osowcu, pod Antoniewem i w wielu innych miejscowościach. Najważniejsza była huta w Ozimku.

Zdolność wytwórcza tych zakładów była, jak na owe czasy, znaczna. Dla orientacji następujący przykład: w hucie w Zagwizdzu produkowano w roku 1791 na dobę 24 do 26 cetna-

rów żelaza, przy czym dla otrzymania 1 cetnara żelaza zużyć musiano przeciętnie 4,5 cetnara miejscowej rudy. Bardziej wydajne rudy sprowadzano furmankami z okolic Tarnowskich Gór, a później też z powiatów strzeleckiego i kluczborskiego.

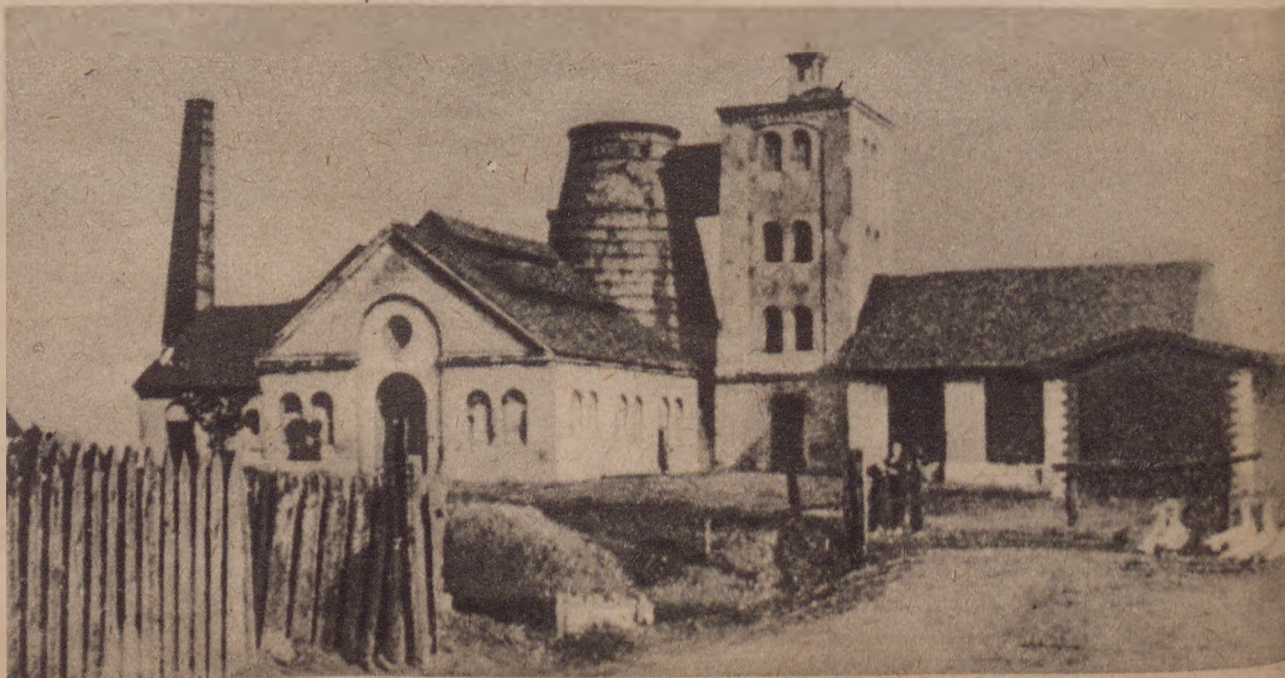
Ze względu na uciążliwość tego transportu wielkie znaczenie dla hut opolskich miało wybudowanie w roku 1843 kolei Opole — Wrocław, a następnie w roku 1846 Opole — Myślowice.

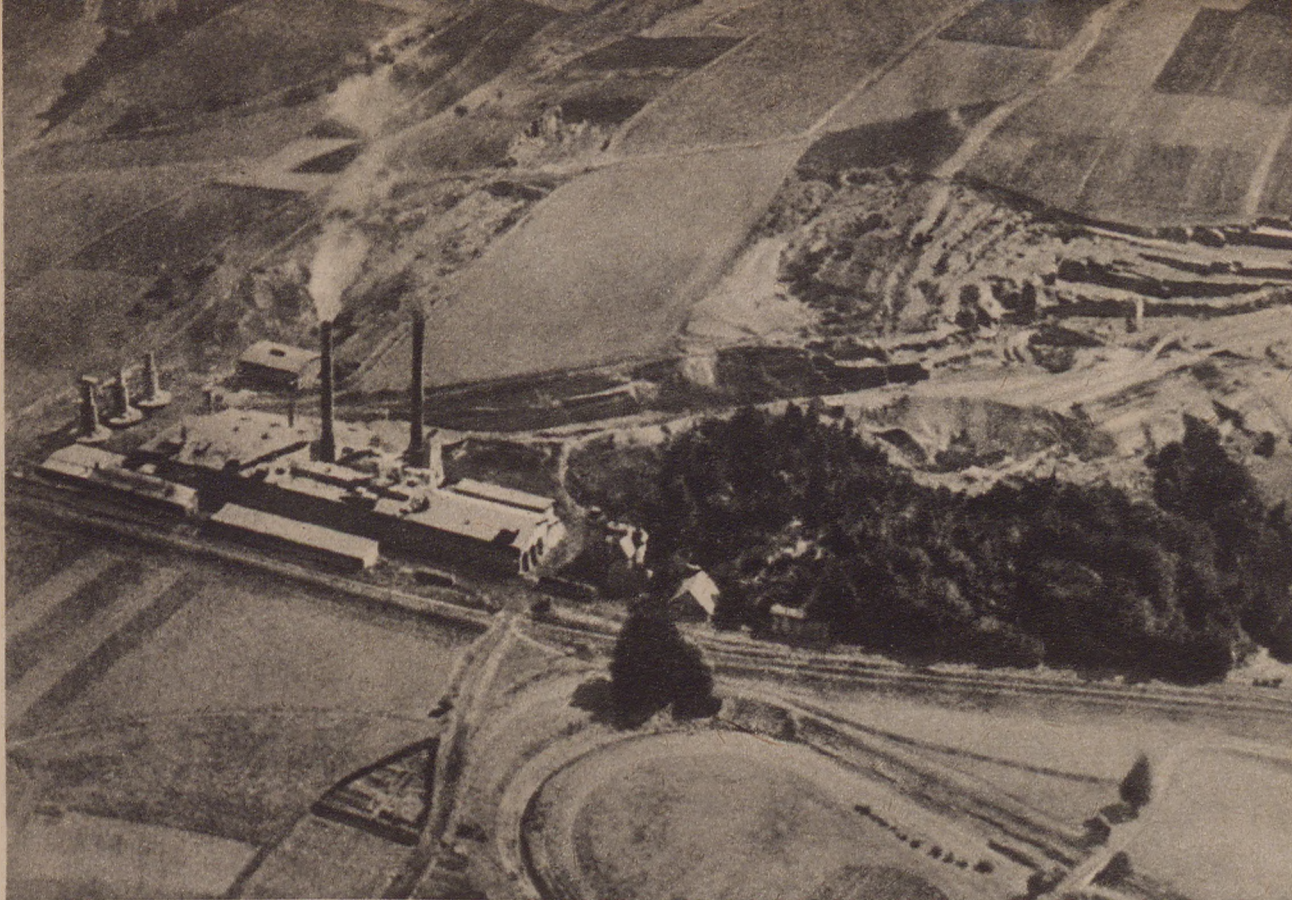
W osiemnastowiecznych hutach wy-

tapiano żelazo wyłącznie za pomocą węgla drzewnego. Ale już w roku 1790 podwyższono i przebudowano jeden z pieców w celu przystosowania go do użycia koksu. W rok później zastąpiono miechy dymarskie sprowadzoną z Anglii dmuchawą cy-

→ Wielki piec opalany węglem drzewnym w Brynicy według stanu sprzed I wojny światowej.

Fot. archiwum „Ziemi”





↑ Typowy krajobraz „Białego „Śląska”. Poza budynkami fabrycznymi widoczne pola marglowe.

Fot. archiwum „Ziemi”

↓ Ruiny zabytkowej huty żelaznej w Nieradzie wg stanu sprzed I wojny światowej.

Fot. archiwum „Ziemi”

↓ (U dołu) Huta Kreuzburg wg stanu sprzed I wojny światowej.

Fot. archiwum „Ziemi”



lindrową. Bez wysokiego ciśnienia przedmuchiwanego powietrza spalanie się koksu nie dawałoby odpowiednich efektów termicznych. Pierwsze próby wytopu żelaza za pomocą koksu przeprowadzono w r. 1792 w hucie Małapanew. Te próby wyży-

skwały później nieco huty w Gliwicach i Chorzowie, gdy jako pierwsze w Europie zastosowały stałe użycie koksu do wytopu żelaza.

Huta Małapanew w początku XIX wieku słynie jako ośrodek szkoleniowy dla szybko rozwijającej się

metalurgii opolskiej a także i zagranicznej. Dostarcza również kompletnych urządzeń do nowopowstających zakładów.

W roku 1805 założono pierwszą na Śląsku walcownię blachy w Jedlicach. Przemysłowy ośrodek na Opol-



szczynie rozwija się w tym czasie bardzo intensywnie.

Hutnictwo tutejsze przodowało jeszcze przez długi czas na Śląsku i nieprędko odebrały mu palmę pierwszeństwa wspomniane już huty w Gliwicach i Chorzowie.

W miarę rozwoju przemysłu coraz silniejszym przemianom ulegał krajobraz. Powstawały nowe osiedla, dawniej istniejące powiększały się — wzrost ilości zatrudnionych pociągał za sobą, rzecz prosta, wzrost ilości mieszkańców.

Lasy uległy wytrzebieniu przede wszystkim w związku z ogromnym zapotrzebowaniem hut i kuźni na drewno. Aby pokonać ówczesne trudności transportu drzewa, w celu jego spławiania wykopano w lasach wiele rowów. Spełniały one jednocześnie rolę odwadniająca. Zgęszczała się z biegiem czasu sieć dróg bitych, powstawały coraz liczniejsze koleje żelazne.

Obok budynków fabrycznych i dymiących kominów pojawiły się wokół hut wzgórza hałd. Piętno przemysłu jest w krajobrazie opolskim do dziś silne.

Poszczególne gałęzie przemysłu mineralnego mają na Opolszczyźnie dość różne tradycje.

Wapień opolski na przykład był już w XIV wieku przedmiotem handlu, ale przemysł wapienniczy rozwinął się dopiero po wybudowaniu linii kolejowych w XIX wieku.

Początek przemysłowi szklarskiemu dali mnisi z klasztoru w Czarnowasach, zakładając hutę szkła w Murowie w r. 1755. Rzecz ciekawa, że huta murowska, mimo że z czasem stała się jednym z największych zakładów tego rodzaju w środkowej Europie, zmechanizowana została dopiero w roku 1930. Poprzednio prawie wszystkie czynności produkcyjne wykonywane tam były ręcznie.

Ale najpoważniejszym działem przemysłu mineralnego w omawianym powiecie jest wyrób cementu. Okoliczności dla rozwoju tego przemysłu były tu nadzwyczaj pomyślne. Na terenie powiatu opolskiego występują bowiem znaczne pokłady marglu kredowego, surowca potrzebnego do wyrobu cementu portlandzkiego. Poziome pokłady marglu leżą tak płytko, że pozwalają na wydobycie odkrywkowe.

Zaraz po odkryciu złóż i zbadaniu przydatności marglu przystąpiono w roku 1857 do budowy pierwszej cementowni między Opolem i Nową Wsią Królewską. Niebawem powstają dalsze cementownie: w Groszowicach, Zakrzowie i w samym Opolu.

Górnośląski okręg przemysłowy dostarczał wielkich ilości węgla — około 300 tys. ton rocznie — a z drugiej strony stanowił bliski rynek zbytu. Oczywiście proces produkcji odbywał się początkowo głównie ręcznie. Obecnie cementownictwo należy do najbardziej zmechanizowanych przemysłów.

Cementownie wywarły również znaczny wpływ na krajobraz. Rozległe pola marglowe pozostałe po dawnych kopalniach odkrywkowych pozyskały dla Opolszczyzny nazwę „Białego Śląska”.

# JAN ZEMELKA

Zygmunt Pęcherski

Przerzucając stare, pozółkłe karty kronik miasta Kalisza, natrafiamy na ciekawą wzmiankę: „Jan Zemelka burmistrz, medycyny i filozofii doktor, w okresie zarazy opuścił miasto, nie rozliczył się z kasy miejskiej...”

W renesansowej kaplicy gotyckiego kościoła farnego w Koninie przeczytać można epitafium: „Jan Zemelius, doktor filozofii i medycyny, mieszczanin koniński zmarł w roku 1607...”

Obydwie wzmianki — o burmistrzu — defraudancie i doktorze — czcigodnym obywatelu dotyczą tej samej, mało w Polsce znanej postaci.

Jan Zemelka był synem pańszczyźnianego chłopca z dóbr klasztoru benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem. Po ukończeniu szkoły przy klasztorze udał się do Krakowa, gdzie uzyskał tytuł doktora filozofii. Żądza wiedzy pchała go dalej. Powędrował do odległej Padwy we Włoszech i tam zdobył stopień doktora medycyny. Chłopski syn wrócił do kraju i rozpoczął praktykę lekarską.

Doskonale wyniki leczenia otaczają go sławą. Jan Zemelka zostaje nadwornym lekarzem królewskim. Praktyka jego obejmuje prawie cały kraj. Zjeżdżają się po jego porady chorzy z najdalszych okolic. Spotykając się jednak często z pogardą dla swego stanu, postanawia Zemelka opuścić Kraków mimo doskonałych zarobków. Udaje się do Wielkopolski, do Kalisza. Tu kupuje sobie dom przy ulicy Łaziennej. W niedługim czasie zostaje obrany burmistrzem.

Wydawało się, że po bujnym okresie młodości znalazł przyjazny i spokojny kąt. Niestety, w Kaliszu wybu-

cha zaraza. Czy możemy wraz z mieszczanami kaliskimi obwiniać ich burmistrza o to, że jeden z pierwszych opuścił zagrożone miasto? A może rzeczywiście był to jedyny ratunek przy ówczesnym poziomie medycyny?

Po jakimś czasie zjawia się Zemelka w Koninie, uzyskuje obywatelstwo miejskie i tak się do miasta przywiązuje, że nawet na jego epitafium umieszczono później herb miasta Konina. Znalazł chyba w tym mieście atmosferę, w której czuł się dobrze, zresztą zarabiał tu znakomicie.

Zemelka pamiętał o tych, którzy mu pomogli na drodze do zdobycia wiedzy, pamiętał także o tych, którzy tak jak on niegdyś walczyli na tej drodze. Posiadane fundusze przeznacza nie na własne potrzeby czy uposażenie rodziny. Fundacje jego świadczą o niepoślednim umyśle.

Polska w tym czasie nie posiada jeszcze studium medycyny. Otóż Jan Zemelka, syn pańszczyźnianego chłopca z Tyńca, funduje w r. 1602 katedrę botaniki lekarskiej i anatomii na Uniwersytecie Jagiellońskim, pierwszą katedrę tego rodzaju w Polsce. Ofiarował na ten cel 1000 dukatów w złocie. Jest to początek przyszłego studium medycyny.

Zemelka pamięta też o biednych synach chłopskich. Funduje dla nich w Krakowie bursę. Na cele naukowe zapisuje także w testamencie swoją bibliotekę.

Miastu Koninowi zostawia po sobie dwa zabytki, które dotrwały do naszych czasów. Jeden — to kamienica stojąca przy pl. Wolności, w której obecnie mieści się Powiatowy Zarząd Rolnictwa. Podziwiać tu możemy nie tylko

sklepienia beczkowe zachowane w korytarzu, w sali posiedzeń, dalszych kilku pokojach i piwnicach, nie tylko grube mury i podziemia, ale i skarpy z umieszczonymi w nich wielkimi głazami.

Dom ten ma bogatą historię; w roku 1656 podczas pożaru schronili się tu mieszkańcy miasta z żywnością i dobytkiem. Tu ich pozbawili wszystkiego Szwedzi. W roku 1796 dom uległ częściowemu zniszczeniu wskutek pożaru. Odbudowali go Modrzejewscy, winiarze konińscy. Ostatni z Modrzejewskich w roku 1864 przekazuje w testamencie dom na gimnazjum, pierwsze polskie gimnazjum w Koninie.

Drugą fundacją, pozostałą w Koninie po Janie Zemelce, jest renesansowa kaplica przy kościele farnym. Przykrywa ją kopuła z latarnią. Zachowała się stara polichromia-kopuły. Ozdobą kaplicy są wspaniale intarsjowane stalle z roku 1607. Z różnokolorowego drewna ułożono kwiaty, ptaki, jednorożce, tworzące bogaty ornament. Kaplicę zamyka kuta krata, na której szczycie umieszczony został emblemat przedstawiający pośrodku konia, a więc herb miasta Konina. W otoku litery J. Z. M. P. D. oznaczają Johannes Zemelius Medicinæ (et) Philosophiæ Doctor.

W kaplicy umieszczony jest nagrobek Jana Zemelki z marmurową płaskorzeźbą przedstawiającą tę wybitną postać polskiego Odrodzenia. Nagrobek wystawił Paweł Bolewicz Czir. Dowodem popularności Zemelki jest wystawiona w roku 1639 złożona tablica pamiątkowa, umieszczona w tejże kaplicy na stallach, która wysławia działalność zmarłego. Tablicę ufundował burmistrz

Miecznik i proboszcz Wilkorzewski. Na zewnątrz kaplicy umieszczona została jeszcze jedna płyta z dłuższym napisem.

Jan Zemelka umarł jako mieszczanin koniński. Na swym grobie kazal umieścić herb miasta Konina. Dowodzi to przywiązania do miasta, które przyjęło go po latach poniewierki w Tyńcu, trudach Padwy i Krakowa i... zarzutach Kalisza.

Postać Jana Zemelki zasługuje na zainteresowanie naukowców. Jest jeszcze szereg spraw do zbadania i rozstrzygnięcia. Pierwsza z nich — to zbadanie zarzutów ze strony kaliszan. Czy naprawdę Jan Zemelka dopuścił się sprzeniewierzenia pieniędzy miasta Kalisza? Za tym zarzutem mogłoby przemawiać to, że Zemelka zjawia się w Koninie jako człowiek wybitnie zamożny i szczerze sypiący fundacjami. Lecz z drugiej strony, czy lekarz o tak rozległej praktyce nie mógł posiadać własnych środków wystarczających do dokonania fundacji? Nie miał on rodziny, której mógłby przekazać spadek, więc po cóż miałby dokonywać defraudacji? Zresztą nikt go za to domniemane nadużycie nie ścigał sądownie ani tym bardziej nie skazał.

Dalszy problem — to nieścisłość pewnych szczegółów biograficznych. Na nagrobku umieszczono datę śmierci 22. 12. 1607 w roku życia 83. Na blasze pamiątkowej wystawionej w 32 lata po jego śmierci podano wiek tylko 68 lat i datę zgonu — 29 grudnia 1607, a więc różną od pierwszej o 7 dni co do zgonu i 15 lat pod względem długości życia.

Zachodzi także różnica w brzmieniu nazwiska: na nagrobku wypisano Johannes Zemelius, na blasze — Joannes Zemelka. Sądzić jednak należy, że Zemelka jest nie zlatynizowanym rzeczywistym nazwiskiem, a więc takie wypada przyjąć.

W przyszłym roku minie 350 lat od śmierci Jana Zemelki. Warto by upamiętnić rocznicę opracowaniem biografii tej zapomnianej postaci polskiego Odrodzenia.



← Płaskorzeźba nagrobkowa Jana Zemelki w kościele farnym w Koninie.

Fot. Józef Sypniewski



## RZEŻBA PORTALOWA KOŚCIOŁA ŚW. PIOTRA I PAWŁA W STRZEGOMIU

JAN KRZYSZTOF MALKIEWICZ

Kiedy dziś stoi się pod potężną budowlą kościoła św. Piotra i Pawła w Strzegomiu, ustępującą co do wysokości tylko kościołowi św. Doroty we Wrocławiu — trudno się oprzeć wizji rycerzy-mnichów w czarnych płaszczach oznaczonych białym krzyżem maltańskim, kroczących w procesji wokół tego olbrzyma, lśniącego w słońcu bazaltowymi ścianami. Tu właśnie w XIII wieku zakon joannitów założył swoją główną komandorię na Śląsku. Wnet też rozpoczęto budowę gotyckiego kościoła, ukończoną około roku 1400.

Śląsk w każdym niemal stylu posiada zabytki najwyższej klasy. Nie dziwi nas to, jeśli weźmiemy pod uwagę jego historię i położenie geograficzne. Ilekroć wpływy krzyżowało się na tych ziemiach! Wieki średnie wycisnęły tu szczególnie silne piętno. Choć podróże w owych czasach nie należały do łatwych ani bezpiecznych, artyści przybywali nie tylko z bogatej Pragi czy Wiednia, nie tylko z Krakowa czy Norymbergi, ale nawet z dalekiej Francji, kolebki architektury i rzeźby średniowiecznej.

Strzegomscy joannici nie poprzestali na wzniesieniu monumentalnych ścian kościoła. Co jest tu najciekawsze, to może właśnie rzeźba, uzupełniająca architekturę. Z trzech stron można wejść

do kościoła przez portale, których tympanony (czyli pola nad drzwiami) wypełniają rzeźby.

Jest to jedyny kościół gotycki na Śląsku, którego wszystkie trzy wejścia zdobią rzeźbione tympanony. A do tego każdy zdradza innego rzeźbiarza i nieco inny czas powstania.

Niewątpliwie najwcześniejszy, pochodzący z lat około 1360, jest tympanon północny. Przedstawia trzy koronacje. Jest to temat w średniowieczu wielokrotnie rysowany w tzw. *Biblii dla ubogich*, czyli zbiorze typowych scen biblijnych. Tam to właśnie znajdujemy zestawienie trzech koronacji: Betsaby przez jej syna Salomona, Estery przez Ahaswera i N. P. Marii przez Chrystusa. Te pełne wdzięku postacie tak przywodzą na myśl rzeźby francuskie, że nie byłoby dziwne, gdyby kiedyś nauka wykryła, iż wyszły spod dłuta Francuza, być może sprowadzonego tu przez joannitów, którzy z Francją byli w ustawicznym kontakcie. Na Śląsku trudno bowiem znaleźć dzieło podobne.

O wiele słabszy artystycznie jest tympanon w portalu południowym, młodszy zapewne o lat dwadzieścia. Widzimy tu zaśnięcie N. P. Marii. To starszy sposób przedstawienia tego zdarzenia. Później bowiem rzeźbiło się zwykle Marię zasypiającą na kłęczkach jak w ołtarzu Mariackim Wita Stwo-

sza. Tę rzeźbę wykonał na pewno miejscowy, rodzimy artysta. Natomiast w głównym zachodnim portalu mamy znowu do czynienia z większym talentem. Tym razem rzeźbiarz przybył może z Wiednia, a w każdym razie w Wiedniu bywać musiał.

Co uprawnia nas do takiego twierdzenia? Otóż jeden z portali wiedeńskiego kościoła św. Szczepana posiada tympanon, który niewątpliwie stał się wzorem dla rzeźb strzegomskich. Temat jest ten sam: legenda św. Pawła. Sposób przedstawienia również niezwykle podobny, przy czym tympanon strzegomski artystycznie cokolwiek słabszy, powstał pod wpływem lepszego wzoru (około 1400 r.). Ale różnica nie jest duża i strzegomski zabytek uznać musimy za jedno z najciekawszych dzieł rzeźby śląskiej. Sprawia on trochę wrażenie figurek z kości słoniowej. Z lewej strony orszak Pawłowy wyjeżdża z Jerozolimy, w scenie środkowej Paweł oślepiiony spada z konia, by z prawej zostać uzdrowionym przez Ananiasza, już w Damaszku, powyżej znów scena chrztu i jedno z kazań Pawła. A więc ta sama postać przedstawiana jest w paru scenach następujących po sobie. To stosowana w średniowieczu metoda kontynuacyjna. A jakie świetne twarze występujących postaci! Co za miny słuchających kazania, które

Paweł wygłasza, wsparty o przewrócony stół. A jak bardzo średniowieczny jest ten chrzest! Paweł stoi w beczce, a kapłan wylewa mu na głowę spory cebrzyk wody. Czyż ten tympanon nie zastępował z powodzeniem książki, która wówczas była rzadkością, dostępną tylko nielicznym, i to nie zawsze zresztą umiejącym ją czytać?...

Ale na tympanonie nie kończą się rzeźby zachodniej fasady kościoła. Nad nim jest jeszcze SĄD OSTATECZNY, na sposób średniowieczny przedstawiony; znalazł się tu chyba nie przypadkiem, gdyż przed kościołem odbywały się sądy.

Jeśli na zakończenie zastanowić się nad wszystkimi trzema portalami jako całością, znowu na myśl przychodzi katedry francuskie. Wprawdzie mają one zwykle wszystkie trzy portale w fasadzie frontowej, zachodniej. Ale tematyka rzeźbiarska jest właśnie taka, że portal środkowy wiąże się z Chrystusem, np. często występujący Sąd Ostateczny, a w portalach bocznych sceny maryjne, jak w Strzegomiu. Toteż, choć konkretnie nie udowodniono jeszcze obecności kamieniarzy francuskich przy wznoszeniu tego kościoła, słyszy się już głosy wysuwające takie koncepcje.

Tak czy inaczej, Strzegom posiada zabytek, którego mogą mu pozazdrościć największe miasta Polski.

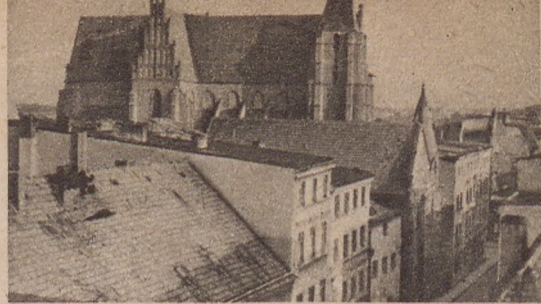
1 Kościół św. Piotra i Pawła, którego budowę rozpoczęli joannici w XIII w. a ukończyli około roku 1400.

2 Tympanon zachodni kościoła św. Piotra i Pawła w Strzegomiu, przedstawiający legendę św. Pawła.

3 Wysokością ustępuje strzegomski kościół św. Piotra i Pawła tylko kościołowi św. Doroty we Wrocławiu.

4 Imponujące wnętrze gotyckiego kościoła św. Piotra i Pawła w Strzegomiu. Wszystkie zdjęcia autora.

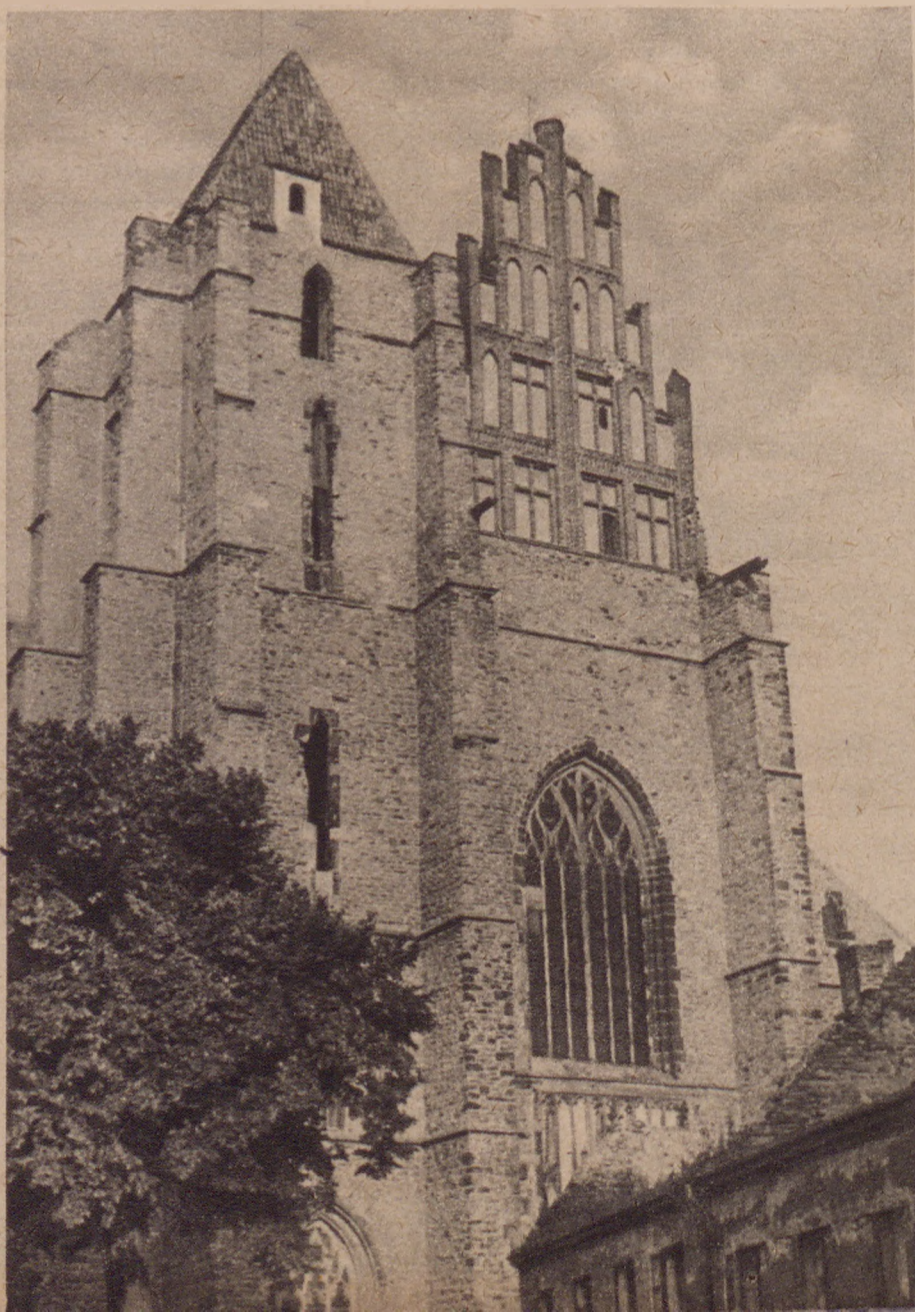
5 Tympanon w portalu północnym, prawdopodobnie dłuta artysty sprowadzonego przez joannitów z Francji.



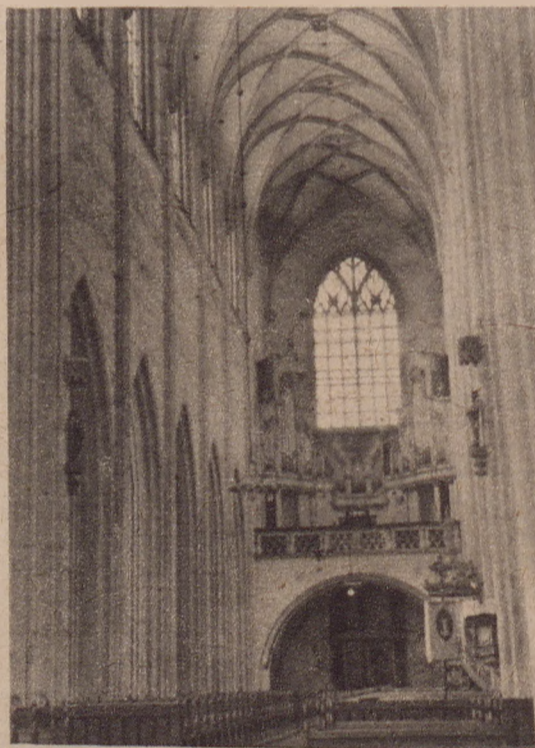
1



2



3



4

5





# O ZBÓJNICKICH SKARBACH

ANNA KOWALSKA LEWICKA

Klimat wsi podhalańskiej XIX wieku sprzyjał rozwojowi opowieści. Życie płynęło monotonnie i cicho. Do zapadłych kątów nie docierały nowiny ze świata. Umysł spragniony wrażeń szukał ich w mniej lub więcej fantastycznych historiach, przekazywanych z ust do ust. Sprzyjało temu również o wiele bardziej rozwinięte życie towarzyskie i łączący się z nadmiarem rąk do pracy na przeludnionym od dawna Podhalu nadmiar wolnego czasu, zwłaszcza w porze zimowej. Nie trzeba też zapominać o żywych jeszcze wówczas tradycjach zbójnickich i częściowo z nimi związanych tradycjach poszukiwaczy skarbów. W świecie, gdzie niemal każde zjawisko przyrody było niewytłumaczalne, nikt nie stawiał granic możliwościom; wszystko, co przekazała tradycja i co zbudować potrafiła niczym nie krępowana fantazja ludzka, stawało się nie tylko prawdopodobne, ale prawdziwe, pewne — prawdziwsze nieraz i pewniejsze od otaczającej szarej rzeczywistości.

W długie wieczory zimowe schodziły się w obszerniejszych chałupach kobiety i dziewczęta. Obsiadały ławy czarnej izby i przy płonącym na nalepie łuczywie lub chwiejnym płomyku napelnionego topionym masłem kaganka przedły len. Przychodzili parobcy i żonaci gospodarze, siadali po kątach, inni kładli się na podłodze; rozpoczynały się długo w noc ciągnące się opowieści przepłatanie żartami, anegdotalami, zagadkami i śpiewem. W opowiadaniu celowali mężczyźni — może dlatego, że więcej od kobiet wędrowali po świecie i więcej mieli okazji do posłyszania o dziwnych wydarzeniach czy do przeżycia ich nawet. Im kto więcej znał gadek, tym był milej widzianym towarzyszem wieczornych „posiadów”.

Opowiadano historie uciężne, bohaterkie wspominki o zbójnikach i „polowaczach“, budujące a czasem nie budujące legendy o świętych, którzy dawniej po świecie chodzili, przerażające spotkania z mamunami, strzygami, wisielcami i innymi potworami, wreszcie opowieści o skarbach i tych szczęśliwach, którzy je posiadli.

U nikogo w komorze nie było za bogato i każdy marzył w skrytości ducha, by dobrać się kiedyś do ciężkiego od „srybla“ i złota kotlika, spoczywającego „pod buckiem“, na rozstajnych drogach, pod jakąś kapliczką zbójnicką, w grocie czy innym uprzywilejowanym miejscu.

Niemal wszyscy starzy gazdowie, jakich spotkałam w trakcie moich wielomiesięcznych etnograficznych włóczęg, szukali kiedyś skarbów. Nawet dziś zdarzają się podobne wypadki. A już na pewno nie ma na Podhalu starego czy młodego, który by nie wierzył głęboko w istnienie zbójnickich kotlików. Często nawet miejsce ukrycia jest dokładnie znane, tylko że nie wystarczy wiedzieć, gdzie leżą „dudki“, trzeba znać na nie sposób. Bo skarby niemal z reguły są zakłete, „zacytane“ i tylko w pewnym czasie, w pewnych ściśle określonych okolicznościach, przy znajomości

ści pewnych przepisowych formuł magicznych można do nich dotrzeć.

Ileż to razy zdarzało się, że oracz zawadził plugiem o coś twardego. Zaciekawiony, zaczynał kopać i znajdował płytę kamienną, a pod nią już tylko pusty otwór, gdzie jeszcze niedawno leżał skarb, który przed oczyma śmiałka „uciekł“ — ziemię. Taka właśnie przygoda zdarzyła się memu kumotrowi z Dębna zaledwie kilka lat temu.

Podobnie w Brzegach orał swoje stajanko nieżyjący już dziś gazda Rusnok. W pewnej chwili lemiesz zaciął się — „Ej kista djaś!“ zaklął chłop. Rozgrzebał ziemię, a tu „ino zadźwiencało“ od spadających w głąb ziemi monet. I znalazł już tylko dziurę — „ino się spara do ziemi zrobiła“, ale w niej już nic nie było. Na samym brzegu leżały jeszcze dwa dukaty: które widać zatrzymały się i nie zapadły w ziemię z innymi. Przyniósł je do wsi i wszystkim pokazywał. Skarb musiał być zaklęty i w normalnych okolicznościach nie dało się go wydobyć.

Czasem poszukiwacza, który natrafił na właściwe miejsce, „złe“ skarbów strzegące odegnano strachem. W Niebieskiej Dolince koło Brzegów „som piñiondze zakopane — jes tam koryto świnińskie złota, a diabli go strzegom. Chodźom po nie ludzie, jo tys się zbirol“ — opowiada stary gazda. Pieniądze te można znaleźć tylko w palmową niedzielę w czasie kiedy ksiądz czyta ewangelię, bo tylko wtedy otwierają się i ukazują oczom ludzkim. Dwa lata temu poszło tam dwu gazdów z Bukowiny, wielkich pijaków, którzy tym sposobem chcieli pomnożyć swój zapas pieniędzy przeznaczonych na gorzałkę. Poszli koło południa, kiedy miarkowali, że na sumie będzie czytana ewangelię. Siedzą i czekają, kiedy ziemia się otworzy i ukaże ich oczom ukryte bogactwa. Aż tu nagle, choć dotąd pogoda była zupełnie bezwietrzna, powiał gwałtowny wiatr, a ich ogarnęło takie przerażenie, że uciekli każdy w inną stronę i spotkali się dopiero w gospodzie na Krzyżowych Drogach. Widać „Ono“ „puściło do nich strach“, żeby odegnąć od mających za chwilę utworzyć się skarbów. Śmiali się potem ze swego tchórzostwa, ale już drugi raz nie chcieli ryzykować.

Zdarzało się, że cała wieś znała miejsce ukrycia „zbojceckich talarów“, ale nikt nie poważał się ich szukać, wiedząc że są zakłete i że śmiałkowi, który by je dobywał, grozi straszne niebezpieczeństwo. Tak było z pieniędzmi zakopanymi przez „dobrych chłopców“ pod kapliczką przy drodze wiodącej z Nowego Targu do Czarnej Dunajca. Nikt ich stamtąd nie brał, wiadomo było, że „złe“ na nich siedzi. Dopiero gdy budowano szosę i trzeba było kapliczkę przesunąć o parę metrów, robotnicy znaleźli pod nią garnek ze srebrnymi monetami. Choć już wiele lat minęło od tego czasu, dotąd wieś nie może odżalować, że przepuściła taką okazję.

Tradycja poszukiwaczy skarbów żyje jeszcze na Podhalu — cofnęła się tylko w bardziej zapadłe kąty, leżące z

dala od dużych ośrodków letniskowych. Ponoć istnieją jeszcze jakieś resztki dawnych bractw poszukiwawczych, gdzie podobno przechowuje się dawne spiski i spinki z gwiazdą — oznaka przynależności do stowarzyszenia. Jeśli nawet istnieją naprawdę, trudno do nich dotrzeć, bo otacza je najgłębsza tajemnica. W takich Brzegach, Cichem, Ochotnicy żyją dziś jeszcze ludzie, których świat wyobraźni nie różni się od świata Sabalów i Obrochtów. Niewielu ich zostało, ale jeszcze są. Posłuchajmy ich opowiadań:

W Jaszczym potoku, jednym z licznych odgałęzzeń rozległej wsi Ochotnicy, na dnie wąskiej doliny wciśniętej w stoki Gorców, gdzie tylko przez parę godzin w ciągu dnia zagłada słońce, stoi chałupa Miętki. W ciągu swoich osiemdziesięciu paru lat życia Miętka widział spory szmat świata. Jako młody chłopiec chadzał na kośby na Węgry, potem emigrował „do Hameryki“. Uciął wreszcie tyle grosza, że kupił gazdówkę i pobudował chałupę tu w dole, nad Jaszczym potokiem. Przez całe jednak życie gnębiła Miętkę jedna myśl: jakby tu znaleźć zbójnickie dudki? Wiedział dobrze, że w okolicznych górach spoczywają ukryte skarby. Zakopali je zbójnicy, których wielu jeszcze za czasów jego dziadka kręciło się po Gorcach. Dziadek ten pasał owce na Magurce, a że był muzykiem, przygrywał sobie przy pasieniu na skrzypcach. Zachodzili więc ku niemu zbójnicy posłuchać jego melodii — grywał im przy wazrze nieraz długo w noc.

Był u nich, u tych zbójników, taki zwyczaj, że jeśli jeden zakopał swój dział, wszyscy pozostali przysięgali, że mu go nie ruszą. Często zdarzało się, że właściciel ginął w walce lub na szubienicy, a towarzysze, choć znali miejsce, związani przysięgą, nigdy nie ruszyli jego pieniądzy. Stąd po wierchach tyle tych zbojceckich bogactw leży w ziemi, a strzeże ich nie tylko tajemnica, ale i zaklęcia, które wypowiedziano w chwili ich ukrywania.

Miętka doskonale znał pewnego wolarza z Kamienicy, który pasł woły na ochotnickich granicach. Kiedyś w upalny letni dzień zachciało mu się pić; poszedł więc ku dobrze znanemu źródłu i ku swemu zdumieniu ujrzał tu koło niego piwnicę, której tu nigdy przedtem nie było. Wsunął rękę w ciemny jej otwór i jakaż była jego radość, gdy wyciągnął pięć szczerzotylnych dukatów. Teraz dopiero uświadomił sobie, że dotarł przypadkiem do zbójnickiego skarbu. Chciał sięgnąć powtórnym, gdy wtem ujrzał bodące się swoje woły. Mogły się pokaleczyć i rozbiec po lesie: nie puszczając dukatów z ręki, skoczył więc, by woły rozdzielić i zegnać w stado. Gdy po chwili wrócił po resztę złota, nie znalazł nawet śladu piwnicy. Widać minęła ta godzina, kiedy raz na rok, a może raz na lat sto, duchy „susom dudki do słonka“. Zostało mu pięć dukatów, które potem wszystkim pokazywał, dopóki ich w karczmie nie pomięniał na wódkę.

Ale i sam Miętka szukał skarbów.

Zaczął się to, kiedy miał lat piętnaście. Poszedł wtedy z jednym ze starszych gazdów kosić na Węgry. Szli piechotą. Kiedy przechodzili przez wielkie mozarzyska, nadjechał na koniu jakiś starzec z długą siwą brodą. Pozdrowił ich po słowacku i zapytał, skąd są i dokąd wędrują. Towarzysz Miętki odpowiedział że z Polski z Ochotnicy, a idą za zarobkiem. Wówczas starzec zszedł z konia, siadł obok nich i zaczął opowiadać przedziwne rzeczy. Mówił, że gdyby on mieszkał w Ochotnicy, nigdy by po świecie nie szukał fortuny, bo tam przecie wokół wsi dość bogactw leży w okolicznych wzgórzach. Z jego opowiadań można było poznać, że znał w Gorcach każdą górę, każdą dolinę i źródło. Widać, i on kiedyś zbójował w tych stronach, a sam po skarby nie poszedł, bo musiał zostać niegdyś przez towarzyszy zaprzysiężony. Wszystko to miarkował Miętka, lecz nie śmiał wprost pytać starca. Na koniec stary wyjawiał im, że na jednej z gór jest koleba, obok niej źródło, a o dwanaście kroków od źródła zakopany skarb. Drugi kotlik spoczywa niedaleko stamtąd, na drugim wzgórzach, w miejscu gdzie pięć małych potoczków zlewa się w jeden.

Tego roku kiepsko kosilo się Miętce i jego towarzyszowi. Z bijącym sercem czekali końca węgierskich żniw i gdy tylko wrócili do wsi, w tajemnicy przed wszystkimi rozpoczęli poszukiwania. Wszystko zgadzało się z opowiadaniem tajemniczego starca. Odnaleźli zmurszałą kolebę i źródło przy niej, znaleźli miejsce, gdzie pięć potoczków zlewało się w jeden — nie znaleźli tylko skarbu. Kopali w dzień — nie udało się. Próbowali potem kopać o północy, w wigilię św. Jana, w wigilię św. Łucji, (która wedle miejscowych tradycji jest patronką czarownic, bo sama była czarownicą i nawet ją na stosie spalono), chodzili tam nawet w niedzielę palmową, kiedy — jak przecież powszechnie wiadomo — duchy strzegące skarbów idą słuchać ewangelii i zostawiają złoto bez dozoru — nic nie pomagało. Stary, widać, zataił przed nimi okoliczności w których „Ono“ strzegące skarbu musi do niego dopuścić. Wiele razy potem Miętka szukał tam jeszcze, zawsze bez skutku. W opowiadaniu na wszelki wypadek woli nie wymieniać nazwy wzgórze — nużyby mnie się poszczęściło i ubiegłabym go w poszukiwaniach!

Stosunkowo niedawno Miętka był znów całkiem bliski zdobycia „zbojceckich talarów“, ale i tym razem szczęście nie dopisało. Było to pod wieczór. Wyjrawszy przez okno z izby zobaczył płonące na grani ponad jego doliną ognisko. Wybiegł przed chałupę i stąd widział już dokładnie na niedalekim wierchu jasny płomień, a na jego tle cienie dwunastu poruszających się postaci. Od razu zrozumiał, co to znaczy. Ogień wytryska z ziemi w tych miejscach, gdzie jest złożone złoto, a dwanaście cieni — to były duchy chłopców z bandy Janosika, który tu kiedyś grasował. Wiedział, że byłoby tylko zapamiętać dokładnie punkt, w którym płonęło

ognisko. a po paru uderzeniach motyki wydobędzie na światło dzienne kotlik pełen kosztowności. Zawołał sąsiada, bo mu straszno było iść samemu, i obaj zaczęli piąć się ku górze. Płomień stawał się coraz jaśniejszy, postacie zbójników coraz wyraźniejsze. W pewnym miejscu, blisko już grani, trzeba było przejść pod brzykiem, skąd widok w górę był zasłonięty. Kiedy wdrapali się na brzyzek, ognia już nie było. Na grani znaleźli tylko łąkę — ani jednego węgielka z ogniska, ani jednego śladu stopy na bujnej trawie.

I tym więc razem przyszli widać w parę minut po właściwym momencie. Miętka nie traci jednak nadziei. Bliżko 70 lat bezowocnych poszukiwań bynajmniej go nie zraziło — „jo go ta jesce bede miol, uwidziće“ zapewnia mnie z błyskiem w oku.

Przenieśmy się teraz w inne kąty Podhala — do Brzegów, wioski wciśniętej niemal w same Tatry. Brzegi zajmują olbrzymi obszar. Należą do nich hale w Pięciu Stawach, Rostoka, Wołoszyn, ale uprawnej ziemi tam mało. Jak to zwykle bywa, tam gdzie ludziom trudno znaleźć dogodne warunki życia, doskonale czują się przeróżne nadnaturalne stwory. W Brzegach, gdzie się ruszyć, napotyka się miejsca ulubione przez te dziwadła. W mlakach pod szkołą wieczorami boginki piorą swoje szmaty, dawniej odmieniały babom dzieci, a nawet porwały jedną, która przed wywodem odważyła się przekroczyć próg chałupy. W mlaki te zaciągnęły raz chłopca idącego z basami grać na wesele. Trzymały go pod ziemią, karmiły miodem trzmieli, piły z niego krew i kazały bezustannie grać. Po równym roku wyszedł blady i bezsilny, i wtedy dopiero ludzie dowiedzieli się, gdzie się podziwiał przez cały ten czas. Pod mostem wiodącym do Jurgowa straszy do dziś duch chłopca, który za życia nie mówił „na zdrowie“, gdy ktoś koło niego kichnął. A grzech jest wielki i pokuta ciężka, bo nawet kuniowi się mówi — zdrów stary — jak mu się kichnie. Bo to kozedemu zdrowie mile; i chłopu, i babie.

i kuniowi“. W rzece Białce pokutują topielcy „potel taki pokutuje, pokieli sie drugi nie utopi i jego nie wybawi“, po granicach wsi łażą po nocach samobójcy wisielcy, nosząc własną głowę pod pachą. A do tego wszystkiego pełno w okolicy ukrytych skarbów. Wiadomo, że są na Ryniasie, wszyscy wiedzą o skarbie w Niebieskiej Dolince i o złocie w Wołoszynie — nie tylko wiedzą, ale i prowadzą poszukiwania.

Najwięcej chyba wie o skarbach Sulorz. Sam przecież w dzieciństwie znalazł skarb. Mądry to chłop. Niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, ale wie więcej niż niejeden sędziwy stary. Zna się na ziołach, wie kiedy jakie zbierać, żeby skutkowało, i na jaką chorobę stosować. W potrzebie i poczarować, i zamówić potrafi. Zna wiele opowieści o duchach, zbójnikach i czarach. Od dziecka miał ciekawość do tych rzeczy, a że 35 lat spędził na służbach, miał okazję poznać ludzi i świat.

Opowieści o skarbach tak ściśle splatają się z jego życiem, że trudno mówić o nich oddzielnie. A życie to bardzo typowe dla stosunków panujących na wsi podhalańskiej końca XIX i początku XX wieku.

Ojciec Sulorza pojechał za chlebem do Ameryki. W domu została matka z czworgiem dzieci, z których on był najmłodszy. Kiedy miał lat sześć, matka umarła. Gmina wyznaczyła „sierockiego“, czyli opiekuna sierot, który grunt, a było tego coś dwa morgi, wziął w „harendę“, a za to dzieci porozmieszczał po służbach. Małego Sulorza wzięli gazdowie z Brzegów. Miał u nich skrobać ziemniaki i bawić małego Sobka, ich syna. Nawet mu tam źle nie było. Nie bili go, dawali jeść i odzienie. Z uznaniem mówi, że „ucyli mnie paćcirza, porzondku swojego, co byk nie krod — dobrzy byli i ucyli jak swoje“. Przez dwie zimy nawet posyłał go do szkoły.

Szkoły w naszym znaczeniu w Brzegach wtedy nie było, powstała dopiero w r. 1918. Przychodził natomiast do wsi nauczyciel wędrowny. Nikt nie wiedział, kim był, i nikt go o to nie pytał. Mówili, że był kiedyś organistą i wy-

rzucano go z posady za pijaństwo. Dość na tym, że każdej jesieni zjawiał się na wsi, kiedy już wszystkie prace rolne były pokończone, a z wiosną odchodził nie wiadomo dokąd. Wynajmowano wtedy jedną izbę na salę szkolną. Były w niej dwie ławy, na jednej siadali chłopcy, na drugiej dziewczęta. Nau-

czyciel nie był płatny, ale co dzień mieszkał i żywił się u innego gazdy, który miał dzieci w szkole. Sulorz z wielkim uznaniem wyraża się o tej szkole; twierdzi nawet, że była znacznie lepsza niż obecna, bo dzieci się porządniej uczyły — od świtu do zmierzchu, a nie tak jak dziś, tylko przez



Zagroda góralska ze wsi Murzasichle w pow. nowotarskim.

Fot. Adam Skoczylas



Uliczka wiejska w Murzasichlu, w pow. nowotarskim.

Fot. Anna Klemensiewicz

chwilkę — i już po sześciu latach nauki umiały czytać i pisać. Żadnych przedmiotów poza czytaniem i pisaniem tam nie uczono. Nauczyciel porządnie bił, dzieci więc bały się i pilnie uczyły, nie tak jak dziś. „Jak się uozwidniało, to jus śli do skoł i tyn naucyciel ś nimi. Kozdy wżion se moskolo do tórbki, w polednie jedli i zaś ćie ucyli pokiel było widno w skoł. Mieli halamentorz cyrwony i ś niego ślabikowali. Kie prze-ślabikowol halamentorz, to zacon pisać na gliniany tablicce ryśikiem. Jak jus sóstom žime chodźil, to jus umiol citać i pisać, ale mie ta ojcowie nie pośielali do uceńia, tokek ino dwie žimy chodźil i nicek śie nie naucyl. Dopirok śie na Śpisu przy paseńiu od parobków nau-ucyl cytać drukowane litery, ale ino slowińskie“ — opowiada Sulorz.

Wtedy to jeszcze, w dzieciństwie, po raz pierwszy uśmiecnał się do niego los. Niestety, przez głupotę przepuścił tak wyjątkową okazję. O wydarzeniu tym najlepiej sam opowie:

„Posek roz krowy gazdowi w uboci, a tu spode krzoka wyskocił zajonc. Patrzem, ka un siedźiol, a tu popod jałowiec dolinka. Zaconek grzybś pazdurami popod jałowcemi i wygrzeblek cośi śtry cy pińć tyk pińdzy. Przyńiosek dudomu i pokazolek gazdowi. Zaroz mi śie uozpytowali kak to naloż — telo tyn gazda był mondry, a jo gupi. Wżion tórbke, motyke i sukmane i posed se mnom. Kaześ ty tego zajonca widźiol — pyto śie mie gazda. Kiek mu pokozoł, odegnał mie krowy paść, alek jo zaźirol i widźiołek jak grzeb. Uwidźiol mie i zaś odegnol. Kie wracol, to jo widźiol, ze ćinskom torbe pod sukmanom niós. To mi ta za to kupili z dobrego serca odźionko, a uni śie het skrzepili. Wiedźialek, ze mieli dlug, a pote syćko spłaćili, budynki pobudowali. I juz mi u tyk gazdów pote lzyj bylo zek ik tak okrzepil. Rozek posed na wyske, a tam śie na korytko zolte pińiondze susom — to te muśialy być! Wżionek jedyn i poselek do Jurgowa do sklepu kupić se cukru, to mie tyn sklepńik pytol, skondek takie pińiondze wżion. Wydol mi tela sósćek ze jaze pełnom kieszonke napchol“.

Sam Sulorz stwierdza, że był to wyjątkowy skarb nie „zacytany“ przy chowaniu. Nikt też o nim do chwili znalezienia nie wiedział. Ale są takie miejsca, o których wie najmniejsze dziecko we wsi, że tam leży złoto, ale nikt go dobyć nie może. Tak jest z Niebieską Dolinką, tak samo jest z Wołoszynem. W tym ostatnim wypadku znane są nawet okoliczności ukrycia skarbu. A było to tak:

„Był taki chłopiec, pastusek, chudobny był i u jednego gazdy służył w Gronkowie. Nie bardzo mu tam było dobrze, jeść nie zawsze miol co, strzempisto chodźil. Ros tyn chłopiec pos krowy za wśiom popod las i śpiwoł:

*Ej jawore, jawore, na jaworze liście  
dejze, Pańie Boze, tym zbójńikom  
scynście.*

Śpiwo se i śpiwo, ale un nie wiedźiol ze tam byli zbójńicy w leśie. Kie go poslyseli tak śpiwać, wyslo ku niemu z lasa dwunastu chłopów z tórbkami i pistolcami. — Cijeśty, sinku? — pytajom śie. — Jo ni mom ani taty, służem u jednego gazdy. — A bogaty tyn gazda? — pytajom śie — a dobrze ći tam? — E ni. — A mo tyn gazda pińiondze? — Ej mo, taki kotlik na izbie. Pytali śie go jescce, ka siedźi i

pokozoł im, bo stanstela widno bylo daf ty chalupy. Dali mu jescce cośi zjeść i ostawili go, a jak słonko zaslo, pognoł krowy du domu.

I przisli w nocy zbójńicy. Zwionzali gazde i pytajom śie, ka pińiondze? Godo ze nika nic ni mo. To ći zbójńicy skwarzili na panewce sadlo i loli mu po brzuchu, az śie tyn gazda prziznol. Wźieni pińiondze, a gazdę puścili, ale wźieni i chłopca, coby śie teraz na chłopcu gazda nie mśćcil. Bylo mu ftej dwanaście roków. Posel śnimi do gór.

Za jakiśi cas pošli ći zbójńicy pińiondze chować. Taki uni zwyczaj mieli, ze jak pińiondze chowali, to jedyn przed drugim śie przyśingal, ze tam nie trefi. Jak śie harnaś pytol tyk zbójńikow, cy trefiom, kozdy powiedźiol, ze ni, a tyn chłopiec pedźiol, ze trefi. bo un nie wiedźiol — jak trza bylo godać. Ftej harnaś wżion ćiupage, zabil chłopca i pochowal go na tyk pińiondzak i zapięcynowal ś nim ty pińiondze. I tak bylo powiedźiane ze jak kto nońdzie kostke z tego chłopca i do trzećiego razu rznie ś niom w to miejsce, to te pińiondze śie otworzom.

Ale tym jedenastu zbójnikom strasńie bylo zol za tym chłopcem bo był wyrośniony i wartki, ino nie śmieli proćiwieć śie harnaśiowi. Pošli stamstela na Białom Wode ku pastyrmom, popili mlaka i pošli w las lezeć. Jak tyn harnaś usnon, to jedyn wżion ćiupage i zaćion tego harnaśia — ześ ty zly chlop kieś ty móg tego chłopca zabić. A taki był tyn harnaś śielny, ze skocyl jescce na półtora metra. Zwrzescał: — trzysta Bohów do maćiery, co chłopcy robićie!? — i tak z tym pomar“.

Zakopany skarb w Wołoszynie nie dawał spokoju zwłszcza pasterzom. Wielu go tam szukało, ale dotąd żaden nie znalazł.

Kiedy Sulorz miał 12 lat, pasł ze swym gazdą w Wołoszynie. Raz gazda powiada do niego tak: — „ty mos dwanaście roków, telo co tyn chłopiec na tyk skarbak, ni mos matki, służys jako un. Podź, pudźiemy wros, to moze un ći tego skarbu popuść“ — i poszli. Był piękny słoneczny dzień, ani jednej chmurki na niebie. Wyszli tam, gdzie wiedzieli, ze jest zakopany skarb — „jes to w Wołoszynie w Scotak“. Skarb zakopany jest na malej równince, a nad nią wznosi się prostopadła skała okopconą jescce od ogniska, które tam ci zbójńicy palili. Gazda wziął motykę, a chłopcu dał ćiupagę. Gdy przyszli na miejsce, dał motykę chłopcu i kazał kopać. Sulorz kopie i kopie, i patrzy, kiedy się jakieś ludzkie kości pokażą. A tu nagle, choć była piękna pogoda, jak nie zawieje wiatr, jak nie sypnie się na nich żwir ze skały. W jednym momencie mieli ręce pokrawione od sypiącego się piargu. Sulorz byłby jescce kopał, ale gdy zobaczył, jak jego gazda ucieka w popłochu, sam porwał motykę i w nogi.

Potem w szalacie inni juhasi śmiiali się z nich, ze się wiatru zlekli, ale już ani oni, ani tamci, nie mieli odwagi iść po raz wtóry.

Sam Sulorz w późniejszym jescce wieku — może nawet i teraz — próbował poszukiwań, tylko że o czasach dzisiejszych niewiele i niechętnie opowiada. Może zna jakieś recepty czy miejsca, o których lepiej nie mówić, póki się ich samemu nie wypróbuje?

Anna Kowalska Lewicka

## Dwór obronny w Szymbarku

W odległości kilku kilometrów od Gorlic nad stromym urwiskiem, u którego stóp płynie rzeka Ropa, stoi samotna budowla. To renesansowy dwór obronny w Szymbarku, wzniesiony w XVI w. przez możny ród Gładyszów. Wzgórze otacza z trzech stron Ropa, a z czwartej broniły go nie istniejące dziś fortyfikacje.

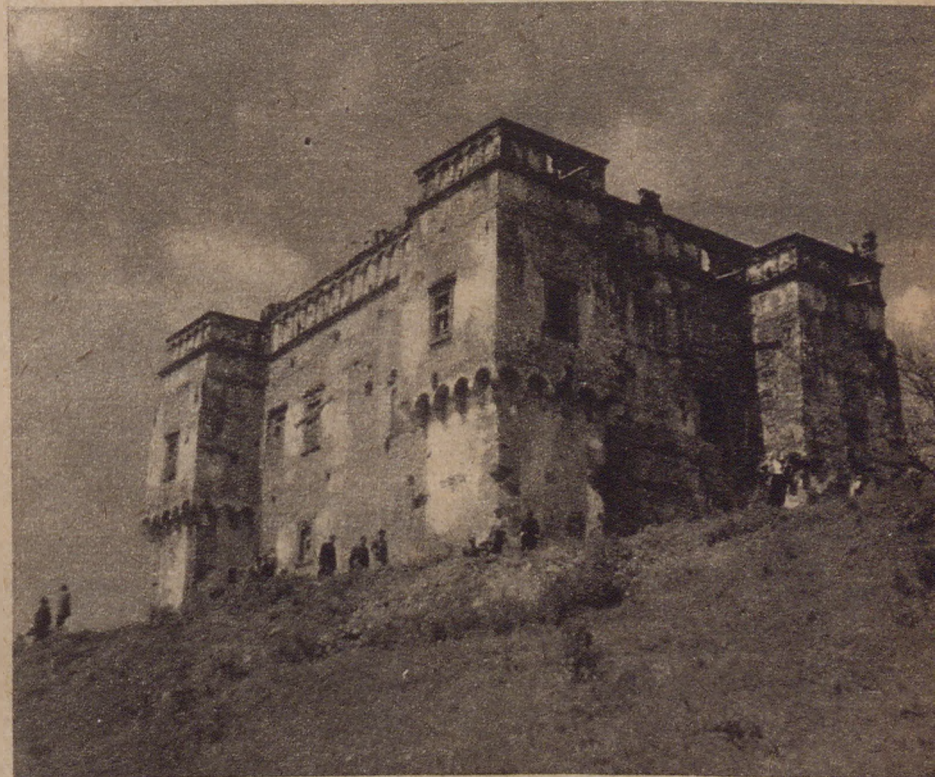
Bardzo ciekawa ta budowla jest zwartą bryłą architektoniczną, bez dziedzina wewnętrznego, z czterema basztami alkierzowymi, podkreślającymi jej obronność. Wieńcząca dach częściowo zachowana attyka renesansowa podnosi jescce piękno dworu.

Aczkolwiek dwór obronny w Szymbarku jest przedmiotem podziwu, obiektem badań historyków sztuki oraz architektów — to jednak powoli zmienia się w ruinę. Mimo swego pięknego położenia i ogromnych walorów nie znalazł dotychczas użytkownika. Po wojnie zahamował jego zagładę konserwator wojewódzki w Rzeszowie, który wzmocnił mury potężnymi kłamrami i stoki wzdłuża zabezpieczył betonowym wałem przed niszczącym działaniem rzeki. To jednak za mało. Nie wystarczą doraźne remonty. Tylko odpowiedni użytkownik, który by go przejął i odnowił, zapewnić może zabytkowej budowli dalsze istnienie.

E. R.

Uważamy, że tak cenny zabytek sztuki nie nadaje się do tzw. „normalnego“ użytkowania. Byłoby wprawdzie do pomyslenia umieszczenie w nim jakiegolub domu kolonijnego lub „domu pracy twórczej“, chociaż ciasnota i zabytkowe rozplanowanie wnętrza nie stworzy dla tych celów dogodnych warunków. Najwłaściwsze będzie takie użytkowanie, które podkreśli wysoką wartość zabytku jako czołowego dzieła architektury tego rodzaju, a więc jego szeroko pojętą wartość dydaktyczną. Gdyby dwór w Szymbarku oddano pod opiekę np. Polskiej Akademii Nauk czy zarządu Zamku Wawelskiego, jako przedmiot badań naukowych i obiekt turystyczny wystarczająco „pracowałby dla współczesności“. Dydaktyczną wartość zabytku podniosłoby niewątpliwie pomieszczenie w nim jakiegolub ekspozycji muzealnej.

(Red.)



Dwór obronny w Szymbarku, wzniesiony w XVI w. przez Gładyszów.

Fot. Marian Kornecki



Dwór obronny w Szymbarku, od strony rzeki. Na zdjęciu widoczne daleko posunięte zniszczenia.

Fot. Marian Kornecki

## Muzeum krajoznawcze w Kirowie

W widocznym na zdjęciu skromnym parterowym budynku mieści się Obwodowe Muzeum Krajoznawcze. Prowincjonalne to muzeum w prowincjonalnym mieście Kirowie.

Niedawno otrzymaliśmy od dyrektora tego muzeum W. Niedzielskiego list, w którym uprzejmy Rosjanin dostarczył nam szeregu informacji o działalności tej krajoznawczej placówki. Do listu dołączył kilkanaście zdjęć, przedstawiających poszczególne części ekspozycji. Informacje cechuje rzadka w „epoce sprawozdawczości” skromność i rzeczowość, co wzbudza do nich zaufanie, a do autora listu sympatię.

Muzeum krajoznawcze w Kirowie powstało w 1866 jako Muzeum Publiczne przy Wiatskiej (dziś Kirowskiej) Bibliotece Publicznej. Do roku 1917 miało ono charakter wyłącznie przyrodniczy. Gromadziło okazy mineralogiczne, botaniczne, zoologiczne i paleontologiczne. Zakres zainteresowań Muzeum znacznie się rozszerzył po rewolucji. Muzeum zaczęło obok okazów przyrodniczych gromadzić zabytki archeologiczne, historyczne, a ostatnio także etnograficzne. Połączenie w 1935 roku z miejscowym Muzeum Rewolucji narzuciło specyficzną i trudną problematykę współczesnych przemian społeczno-politycznych. Toteż dziś na wystawie muzeum kirowskiego obok kości mamuta, nosorożca i tarpana uzupełnionych licznymi planszami, z nie lada zdumieniem znajdziemy salkę, w której stoją obrabiarki reprezentujące dzisiejszy przemysł terenowy. Obok gablot z regionalnymi strojami, wyrobami artystycznego chałupnictwa i prymitywnymi narzędziami gospodarczymi, widać modele nowych zabudowań wiejskich, gipsowe figurki rasowego bydła i pęki wyhodowanej na kołchozowych polach kukurydzy. Czyżby piętnastowieczne kamienne kule armatnie, misiurki i berdysze, prymitywne warsztaty tkackie i żarna — zdaniem kirowskich muzeologów — nie klóciły się bynajmniej z umieszczoną w sąsiedztwie wystawą miejscowego przemysłu skórzanego, uzupełnioną portretami przodowników pracy czy nawet wystawą radiodbiorników?

Jak więc widzimy, to radzieckie muzeum krajoznawcze stara się spełniać jednocześnie rolę stałej wystawy przemysłowo-rolniczej. Nie mało zapewne wysiłku musi wkładać w poprawną realizację swych zamierzeń personel muzealny, gdyż zakres pracy nakreślił sobie olbrzymi. A przecież obok urządzenia wystaw o tak rozległej problematyce w samym Muzeum, zespół dyrektora Niedzielskiego organizuje wystawy w różnych instytucjach społecznych, wydaje plakaty propagujące ochronę i poznanie zabytków ziemi ojczystej,

i wreszcie prowadzi terenowe prace badawcze. Do osiągnięcia tego aktywnego muzeum trzeba także zaliczyć wydawanie własnego rocznika *Po rodnemu kraju* jak również opiekę nad ośmioma rejonowymi muzeami krajoznawczymi obwodu.

W czasie przeglądania fotografii nasuwa się niejedno zastrzeżenie. Można by np. nie zgadzać się ze sposobem urządzenia wystawy, zbyt nagromadzeniem przedmiotów i nieco staroświecką ekspozycją. Wątpliwości może wzbudzić także zbyt sze-

roka skala zainteresowań. Lektura nadesłanych materiałów nasuwa dwie uwagi ogólne. Z jednej strony muzeum w Kirowie jest żywym i ekspansywnym ośrodkiem krajoznawczym, co przypuszczalnie w dużej mierze jest zasługą samego dyr. Niedzielskiego. Z drugiej — Muzeum pomimo współczesnej tematyki swym charakterem odpowiada naszym dawnym uniwersalnym muzeom regionalnym, w których to np. kości mamuta i skamieniałe zwierzęta sąsiadowały z gablotami pełnymi sta-

rych monet i orderów, a sztandary powstańcze z galerią wypchanych ptaków. Ten typ muzeów ma jednak u nas do dziś bardzo wielu zwolenników, którzy poważnie uzasadniają celowość ich w warunkach skromnych możliwości finansowych. Wiele osób wspomina muzea takie z głębokim sentymentem, co wyraźnie świadczy o silnym ich oddziaływaniu na wyobraźnię i uczucia zwiedzających.

Oczywiście, większość zastrzeżeń wynika zapewne z różnego sposobu pojmowania krajoznawstwa przez nas i naszych wschodnich sąsiadów. Zważywszy jednak, że nasze regionalne muzea nie zawsze lepiej spełniają swą funkcję od dawnych muzeów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, wiadomości o małych muzeach zagranicznych mogą być cennym materiałem do dyskusji.

(L. Z.)



Rys. S. Hennig



(U góry) W tym budynku mieści się Muzeum krajoznawcze w Kirowie (ZSRR).

Interesujące okazy starej broni eksponowane w kirowskim muzeum.

Jedna z sal Muzeum w Kirowie. Na pierwszym planie eksponaty etnograficzne.

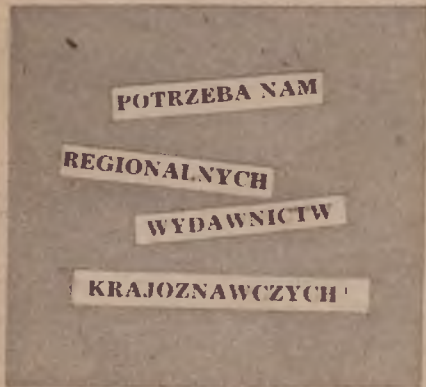
Problem poruszony na łamach „Naše Vlast” przez Františka Roubika może zainteresować także polskich krajoznawców. Uzasadnia on mianowicie konieczność popierania regionalnej inicjatywy wydawniczej, przede wszystkim w zakresie czasopism popularnonaukowych. Dziś, kiedy systematyczne badania z zakresu nauk przyrodniczych, historycznych, etnograficznych a także i innych dyscyplin — pisze Roubik — rozrastają się do niebywałych rozmiarów, konieczna jest organizacja należytej współpracy naukowców z badaczami terenowymi”. Dla opraco-

wania syntezy potrzebna jest pomoc znawców zagadnienia w obrębie poszczególnych miejscowości czy małych obszarów. Pole do pracy dla współczesnych krajoznawców upatruje autor w dostarczaniu naukowcom materiałów i przyczynków. Aby jednak mogli oni publikować swoje drobne prace — muszą mieć do dyspozycji łamy wojewódzkich miesięczników krajoznawczych. Jak wynika z treści artykułu, przygotowania do uruchomienia takich czasopism są już w Czechosłowacji zaawansowane. Niezależnie od istniejącego zapotrzebowania społecznego,

które może pismom zapewnić rentowność, ich powodzenie zależeć będzie od redakcji, tzn. od odpowiedniego doboru autorów i od poziomu artykułów. Redakcja „Naše Vlast” otwarta dyskusję nad problemem regionalnych czasopism krajoznawczych.

(J)

<sup>1</sup> Frantisek Roubik, *Potrebujeme regionalni vlastvedny tisk*, „Naše Vlast”, Nr 9, Praha 1956.





Tak wg współczesnej ryciny wyglądał polski pocztalio z czasów Królestwa Kongresowego. Nieco wspomnień o pocztach z tamtej epoki zawarł Julian Ursyn Niemcewicz w swych „Podróżach historycznych”.



## DAWNE POCZTY POLSKIE

Każdemu chyba, kto czytał dickensowski „Klub Pickwicka“ czy „Opowieść o dwóch miastach“, kto widział takie filmy, jak „Baryteczka“ albo „Czerwona Oberża“ — w pamięci utkwił raz na zawsze obraz dyliżansu pocztowego.

Cały odrębny świat dyliżansów, pocztylionów, trąbek, stacji pocztowych wiąże się w naszych wyobrażeniach z pewnym okresem historii krajów Europy zachodniej, szczególnie Francji i Wielkiej Brytanii. Tymczasem poczty konne kursowały niegdyś po całej Europie, a na naszych ziemiach dłużej niż na zachodzie, bowiem rozwój kolei nastąpił u nas wolniej niż tam. Wystarczy choćby wziąć do ręki gazety warszawskie z połowy ubiegłego stulecia. Rubryka informująca o przyjeździe znacniejszych osób do stolicy podzielona była na dwa działy: „Przyjechali“ i „Przyjechali koleją żelazną“. Kolej w owych czasach była jeszcze nowością — większość po-

drożnych korzystała z najpopularniejszego ciągle publicznego środka komunikacji, pocztowego dyliżansu.

Barwne i ciekawe życie pocztowej komunikacji poszło u nas prawie całkowicie w niepamięć. W literaturze naukowej trudno jest znaleźć opracowania poczt konnych, brak zupełnie popularyzacji, a i w literaturze pięknej ta dziedzina życia nie pozostawiła prawie żadnego śladu.

Aby utrwalić coraz bardziej ginące tradycje, otwieramy w ZIEMI stały dział „Dawne poczty polskie“, w którym publikować będziemy wiadomości o istniejących jeszcze zabytkach — budynkach pocztowych, materiały ikonograficzne do historii poczt konnych, wyjątki z pamiętników i inne wspomnienia o pocztach polskich.

Jednocześnie w porozumieniu z Muzeum Poczty we Wrocławiu ogłaszamy poszukiwanie wszelkich materiałów, które tej pożytecznej instytucji mogą być potrzebne do studiów

nad historią poczty. Ze względu na rozproszenie tych materiałów pomoc krajoznawców będzie niezwykle cenna w ich gromadzeniu.

A oto co pisze w liście do Redakcji dyrektor Muzeum, p. Aleksander Śnieżko:

„Należy szczerze powitać inicjatywę Redakcji uruchomienia stałej rubryki „Dawne poczty polskie“ — dąłoby to do możliwości opublikowania wielu ciekawych materiałów, leżących dotychczas w ukryciu, tym bardziej, że w dziejach komunikacji pocztowej w Polsce wiele jeszcze zagadnień pozostaje do dziś nie wyswietlonych.

Należałoby zebrać materiały dotyczące generalnych poczmistrzów polskich i dzielnicowych. Brak jest wiadomości o pocztach poszczególnych większych miast polskich. Należałoby opracować szlaki i trakty pocztowe oraz kursy dyliżansów i taryfy pocztowe. Dobrze byłoby podawać ciekawe wydarzenia z życia dawnej poczty — przygody pocztaltherów,

pocztylionów, ciekawostki z tej dziedziny wyszukane i wyłowione z pamiętników, opowiadań i mało znanych publikacji.

Przetrząsając zakamarki starych dworców wiejskich lub porządkując dawną korespondencję można w szufladach staroświeckich komód znaleźć wiele cennych dla Muzeum przedmiotów — dawne kwity pocztowe, bilety jazdy dyliżansem, nominacje na poczmistrzów, rotty przyięgi pocztylionów, stare sztychy (mogą być wycięte z czasopism) przedstawiające dyliżanse, pocztylionów, budynki pocztowe, szyldry lub skrzynki pocztowe.

Muzeum Poczty i Telekomunikacji zbiera wszelkie dane bibliograficzne dotyczące poczty polskiej. Interesując nas też dawne listy i koperty z nalepionym pierwszym polskim znaczkiem z roku 1860 jak również listy przedfilatelistyczne. Na nich znajdują się zamiast znaczków adnotacje ówczesnej poczty lub stemple. Mają one dużą wartość historyczną. Te przedmioty Muzeum może także nabywać za gotówkę“.

Całość materiałów nadesłanych przez krajoznawców Redakcja przesyłać będzie do Muzeum, publikując najbardziej interesujące wiadomości i ilustracje. Dział „Dawne poczty polskie“ otwieramy wspomnieniami J. U. Niemcewicza o pocztach z okresu Królestwa Kongresowego. Opracował je dla nas dyrektor wrocławskiego Muzeum.

## UWAGI J. U. NIEMCEWICZA O DAWNEJ POCZCIE

ALEKSANDER ŚNIEZKO

Dziś, gdy wszyscy przywykliśmy do wygodnych i nieraz pełnych komfortu wagonów kolejowych czy autobusów, przenoszących nas szybko o całe setki kilometrów, warto zadać sobie pytanie: jak też podróżowali nasi przodkowie?

A kwestia to wcale ciekawa, choćby ze względu na liczne trudności i niewygody, których się doświadczało w ówczesnych podróżach.

Na przełomie XVII—XVIII wieku komunikacja kołowa wozami pocztowymi poprawiła się tylko nieznacznie. Główne szlaki pocztowe, sięgające czasów średniowiecznych, znajdowały się w stanie ledwo zdatnym do użytku, a już stan dróg krajowych na ziemiach polskich przedstawiał się beznadziejnie.

Podróż pocztą była wówczas jednym pasmem udręki. Zmiana zaprzęgu na większych stacjach pocztowych i posiłek przy stole gospody były okazją do wytchnienia i rozprostowania poobijanych kości.

A kiedy po zmianie zaprzęgu wyruszał wóz w dalszą podróż, czekały pasażerów liczne niespodzianki. To złamało się koło, to wóz stoczył się do rowu albo też zapadł w bagnisty teren nigdy nie wysychających kałuż.

Jeżeli zważyć, że jeszcze w początkach XIX wieku większość szlaków pocztowych stanowiły

drogi naturalne, które przyroda wytknęła, a końskie kopyta i podszwy pieszych wędrowców wydeptały, powolność i nieregularność w kursowaniu wehikułów pocztowych znajdowały dostateczne uzasadnienie.

Dawne relacje, sprawozdania i pamiętniki z podróży: Antoniego Józefa Rolli, Fryderyka Skarbka, Józefa Dunin-Karwickiego, Oskara Platta i wielu in. opowiadają nam o trudach, na które byli narażeni pasażerowie jadący pocztą.

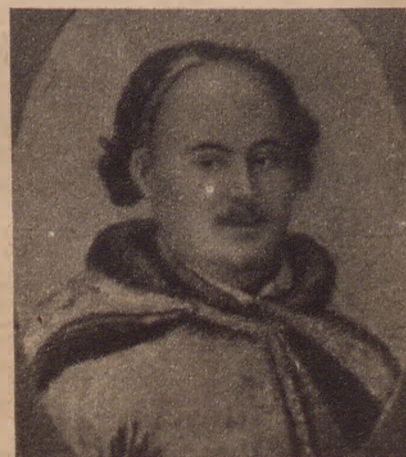
Najwięcej krytycznych uwag o dawnej poczcie pozostawił Julian Ursyn Niemcewicz w swoich wspomnieniach *Podróże historyczne po Ziemiach Polskich między rokiem 1811 a 1828 odbyte*. (Paryż 1858 r.)

Oto trzy ciekawe wyjątki z tej rzadkiej książki, dotyczące poczty: *Podróż* w 1812 r. (str. 108—109): „W Toruniu kościół Dominikanów wystawił wielki mistrz Jan Sangerhausen w 1262 r. We wszystkich wspomnianych kościołach są portrety tych znakomitych założycieli w strojach krzyżackich; widocznym jest atoli, że daleko później malowane. Rubinkowski, burmistrz czyli też tylko poczmistrz toruński, za króla Jana żyjący, mąż kochający się w narodowych dziejach. wizerunki te odmalował rozkazał...“

Szkoda, że Niemcewicz nie za-

uważył w kościele św. Jana epitafium rodziny Rubinkowskich z portretem wspomnianego poczmistrza. Dowiedziałby się bowiem wówczas, że Jakub Kazimierz Rubinkowski był pierwszym poczmistrzem królewskim w Toruniu nie za czasów Jana III, lecz w epoce saskiej w latach 1711—1749.

Niemcewicz jeździł zwykle wynajętymi prywatnie końmi albo końmi znajomych. Niekiedy korzystał jednak i z urzędowej poczty. Boleje też nad upadkiem i powolnością poczty polskiej: *Podróż na Wołyń* i w Brzeskie, w roku 1816 (str. 157): droga z Warszawy w kierunku Puław: „chciałbym był lotem ptaka usunąć się od tych zasmucających serce obywatelskie widoków (nb. — wszędzie zniszczenia i ubóstwa znamiona); lecz minęły czasy, gdzie poczty nasze lotem ptaka pędziły. Czyli to niemożność trzymania dobrych koni, czyli nabyty nałóg pod rządem rozlazłość lubiącym, czy też, że wygrywane przez pocztyliony naszych niemieckie kurantv, nie wzbudzają w koniach polskich tej żywości, którą dawne śmiejące się trąbki wzniecały: to pewna, iż podróżny z niecierpliwą posuwą się powagą“. Krytykę tę jednak Niemcewicz jednocześnie uzupełnia uwagą, że: „w r. 1820 już poczty nasze nierównie śpieszniej jadą i domy ich porządnie są trzymane“.



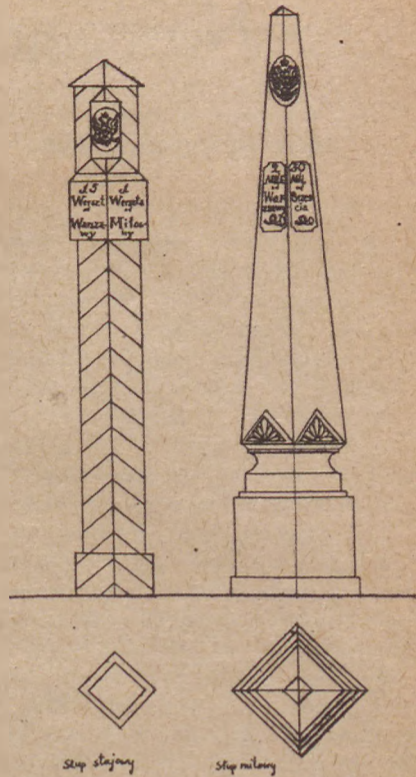
Jakub Kazimierz Rubinkowski, pierwszy poczmistrz królewski w Toruniu w latach 1711—1749.

Melodie kurantów, którą wygrywali na trąbkach polscy pocztylioni. Między innymi były to umowne sygnały uprzedzające o zbliżaniu się dyliżansu do stacji pocztowej, a także „sygnał trwoży“.



→ Słup wiorstowy i słup milowy z czasów Królestwa Kongresowego. Odległości dawnych traktów pocztowych były wyznaczane za pomocą takich słupów ustawianych wzdłuż drogi. Rysunki przedstawiają słupy z traktu łączącego Warszawę z Brześciem.

↓ Tzw. podorożna, czyli bilet jazdy dyliżansem (w tym wypadku pociąg). Wzór blachy z godłem Królestwa Kongresowego, jaką na lewym rękawie nosili pocztylioni (ryc. współczesna). Szerokość opaski wynosiła 5,5 cala.



↑ Szerokie trakty pocztowe wysadzane były zazwyczaj drzewami. Wszystkie ilustracje pochodzą ze zbiorów Muzeum Poczty we Wrocławiu.

↓ Wzór blachy z godłem Królestwa Kongresowego, jaką na lewym rękawie nosili pocztylioni (ryc. współczesna). Szerokość opaski wynosiła 5,5 cala.



Podróżując po wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej nie szczędzi złośliwych choć słusznym uwag pod adresem poczty carskiej i panujących w niej stusunków.

Podróż po Wołyniu, Podolu oraz do Odessy wr. 1818. Siedlce. (Str. 289): „Wszędzie po drodze spotykałem pocztylionów w najgorszym humorze; wozili oni świętą wielce personę”. (Nie piszę kogo, ale przypuszczam, że to rodzony brata cesarza, wielkiego księcia Mikołaja Pawłowicza, który w 1825—1856 panował jako car Mikołaj I. Przyp. autora).

„Ta (osoba):

Gdzie ją kolwiek laskawie  
poprowadzą gwiazdy,  
Ryje na wszystkich plecach  
pamiętki swej jazdy  
Pod jej pięknymi stopy ciągiem  
bitej drogi  
Nie mdle rodzą się kwiaty, lecz  
twarde batogi”

Z kolei autor zwraca uwagę na drogi w rosyjskim imperium:

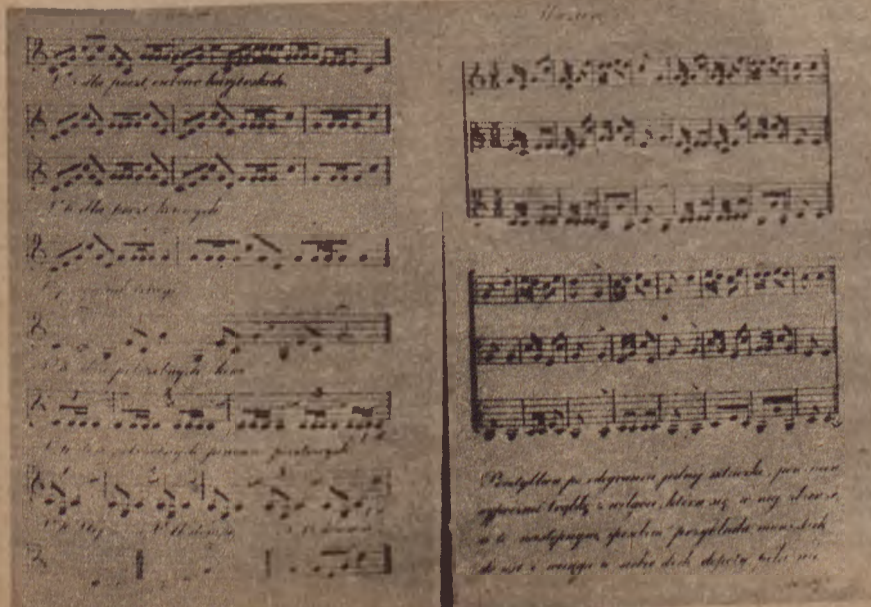
„I tu jak u nas gwałtowne krzątanie się około dróg. Szerokość ich odpowiada ogromności państwa całego; niemniej bowiem drogi mają jak 30 łokci wszere. W kraju piaszczystym mniej to znaczy; lecz, gdzie ziemia urodzajna, jak wielka strata. Wyrachowano, że w samym powiecie kobryńskim, 60 włok gruntu ornego obróconych zostało na drogi. Po obu stronach sadi się drzewa. Najwięcej brzozy i klony, a że z największym pośpiechem, nic

w porę, nieuważnie, wszystko schnie lub się wywraca. Panujący, lubiąc wszystkie publiczne porządki i ozdoby, nowym ukazem robienie dróg polecił, dodając, by się to działo bez ucisku mieszkańców. Mówią, że sam przysłał wzór słupów oznaczających liczbę wiorst. Mało atoli jest względu na zalecenia monarchy; wszędzie podróżny spotyka tłumy wieśniaków z rydlami; cóż oni robią? Porzucają swą rolę, by sypać piasek.

Nie tylko poczta, wszystko tu leci galopem jak gdyby ogromne to państwo nie wieki, lecz kilka tylko niedziel trwać miało. W tym bowiem przeciągu chce niedokładnie uskutecznić to, co w europejskich krajach powoli, lecz gruntownie się robi”.

Przeważająca większość bardzo zresztą interesujących i trafnych uwag Niemcewicza dotyczy poczt rosyjskich owego okresu. Szkoda doprawdy, że ów spozregawczy pisarz nie pozostawił nam więcej materiałów informujących nas o ówczesnych pocztach polskich, jakkolwiek Królestwo Kongresowe złączone było wówczas z imperium rosyjskim i pomiędzy pocztami obu państw istniały zapewne dość znaczne podobieństwa. Drobnym, choć charakterystycznym, przykładem tego może być fakt, że zarówno polscy, jak i rosyjscy pocztylioni nosili te same mundury. Polaków odróżniało tylko noszone przez nich na kapeluszach i opaskach na ramieniu godło. Był nim wprawdzie dwugłowy orzeł carski, lecz z polskim orłem na piersiach.

Aleksander Śnieżko



# Nowotarskie historie

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

W r. 1346 król Kazimierz Wielki podpisał akt lokacji miejskiej Nowego Targu. Działo się to w oktawie Trójcy Św. i „cancellarius” królewski Zbigniew uroczystą pieczęcią woskową zatwierdził akt narodzin nowego miasta, zamykając jego przeszłość i otwierając przyszłość.

A przeszłość sięgała czasów zamierzchłych. W plemiennym okresie osadnictwa z ziem krakowsko-sandomierskich zšli ludzie na późniejszą Nowotarszczyznę. Na pogórzcu zastawali warunki niezbyt sprzyjające uprawie roli, więc przerzucali się na myślistwo, rybołówstwo, pasterstwo — po trosze i na robój. Trwali. Gdy w r. 1234 Henryk Brodaty nadawał tereny podgórskie Teodorowi z Ruszczy Gryficy, zwanemu Cedro, nazwy Czarnego i Białego Dunajca, Lepietnicy, Ostrowska, Rogoźnika. Ratajnicy były już ustalone tradycją osiadłej ludności.

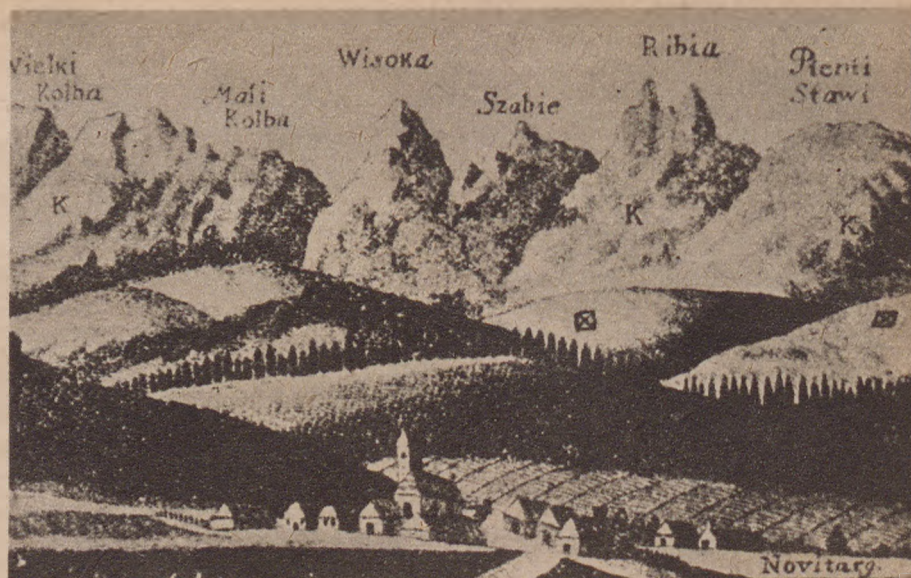
Cedro nie zamierzał zajmować się osobiście kolonizacją. Sprowadził z Jędrzejowa cystersów, zbudował im klasztor w Ludźmierzu, kazał trzebić lasy, ściagać poddanych, budować osiedla; przerzucił na barki zakonnych braci ciężary wraz z przywilejami. Nie szło. Klimat był ostry, kraj pusty, pograniczny, niebezpieczny, ludzie nawykli do nieograniczonej swobody, niechętni pracy na roli. Nie wytrzymali cystersi w drewnianym, samotnym klasztorze; po dziesięciu latach przenieśli się do późniejszego Szczyrzyca. „Monasterium Cirmense” vel Ciritz vel Szczyrzyc za bardzo był jednak oddalony od terenów kolonizacyjnych Cedry — i w roku 1254 klasztor szczyrzycki zapisać mógł na swym koncie zaledwie sześć założonych przez siebie karczowisk. Mimo to cystersi nie zrezygnowali. Pomiędzy rokiem 1287 a 1307 lokowano na prawie niemieckim Nowy Targ, a w r. 1308 Długopole i Ludźmierz, ale już w latach 1335—1337 Kazimierz Wielki w nieznanym bliżej okolicznościach przejmuje w swoje ręce znaczną część obszarów, pozostających dotąd *de nomine* we władaniu klasztoru. Przejmuje i lokuje powtórnie miasto Nowy Targ.

Lokuje na prawach wyjątkowych. „Novum Forum” (N. Targ) otrzymuje aż 150 wolnych łanów frankońskich uposażenia, gdy tymczasem Ludźmierz otrzymał od opactwa tylko 17, Długopole zaś — 54. Wójt nowotarski o niemieckim nazwisku Dytko vel Dytrych (Teodoryk) i polskim nazwisku Szyja, piastujący tę godność już za czasów klasztornych — otrzymuje teraz na własność 8 łanów (a wójt ludźmierski posiadał tylko 1 łan!). Otrzymuje ponadto prawo stawiania sklepów sukienicznych, jatek, warsztatów szewskich i krawieckich, piekarni, karczmy, młynów wolnych od czynszu — w dowolnej ilości. Osadnicy otrzymują wspólne z wójtem prawo wolnego polowu i polowań, zwolnienie od cła krakowskiego, prawo jarmarku wolnego od opłat. Na koniec — co jest zjawiskiem raczej wyjątkowym w ramach prawa magdeburskiego — wójt i osadnicy nowotarscy otrzymują zwolnienie od świadczeń wojskowych.

Skąd ów szczególny fawor królewski? Wolno przypuszczać, że król znał warunki miejscowe i zdawał sobie sprawę z tego, że miasto nigdy nie zagospodaruje przyznanej sobie ziemi i nigdy nie wyzyska danyh sobie możliwości rozwojowych. Rzecz w tym, że królewski tytuł własności tych obszarów był bardzo świeżej daty i należało zabezpieczyć się przed możliwymi pretensjami prawnymi cystersów szczyrzyckich. Zabezpieczyć się argumentem faktów: otwarciem przed osadnikami możliwości większych aniżeli te, które dać mogli cystersi. Wyrobieniem świadomości, że przyszłość miasta leży w prawnym związku ze skarbem królewskim, nie zaś w zależności od klasztoru.

Rozwój Nowego Targu szedł w kierunku niedopowiedzianych przewidywań Kazimierza. Rejestr z r. 1530 wymienia tu tylko 96 domów, skupionych przy czterech ulicach; zamiast murów obronnych otaczały miasto „parkany”, częstokoły z pali drzewny. Lokalne warunki klimatyczne, które dziś jeszcze wyznaczone są cyframi 40° C amplitudy temperatur pomiędzy marcem i kwietniem oraz średnią roczną ok. 5,9° C, a także bardzo nieszczególna gleba — nie pozwoliły na wydatniejszy rozwój rolnictwa. Nic też dziwnego, że z przyznanych aktem lokacji 150 łanów — zagospodarowano w ciągu lat dwustu zaledwie 28. W wieku XVII zaniknie nawet pamięć o pierwotnym uposażeniu; w r. 1636 stawieni przed komisją mieszczańską nowotarscy nie potrafią określić położenia i ilości ról miejskich, zeznając, że „przywilej fundationis nie był do skutku przywiedziony”. Nowy Targ nie mógł także pretendować do roli emporium handlowego. Trakt węgierski z Koszyc przez Pławce i Starą Wieś, aczkolwiek znany już w w. XII, począł się ożywiać dopiero w XVII i XVIII wieku. Na razie notuje się tylko wzmianki o przewozach i sprzedaży soli wielickiej, ołowiu olkuskiego, miedzi i win węgierskich. Rzemiosło istnieje, ale organizacje cechowe zawiązują się tu stosunkowo bardzo późno, bo dopiero w ostatniej ćwierci XVI wieku.

Wójtostwo nowotarskie rychło przechodzi w ręce szlacheckie. Wykupuje je ród Ratołdów ze Skrzydłnej, szlachty pochodzenia niemiecko-węgierskiego (Rothold). Już w 1444 wójtostwo przestaje istnieć jako odrębna jednostka gospodarcza, wchodząc w skład dzierżawy szaflarsko-nowotarskiej, olbrzymiego latyfundium, powstałego ze scalenia w rękę Ratołdów dóbr skonfiskowanych już w r. 1380 cystersom szczyrzyckim. Nawiasowo wspomnieć można o powodach owej konfiskaty: była ona mianowicie wynikiem afery skarbowej. Klasztor szczyrzycki osadził na zameczku w Szaflarach neofitę, trudniącego się tajemnie fałszowaniem monety polskiej i węgierskiej. Sprawa wyszła na jaw, a parokrotne upomnienia, kierowane do opactwa szczyrzyckiego, pozostały bez rezultatu. Opactwo nie dawało wiary doniesieniom. Wówczas starosta krakowski Sędziwój z Szubina na polecenie panującego podówczas



Nowy Targ wg fantazyjnego miedziorytu z końca XVIII wieku (zbiory W.A.P. w Krakowie).

Nowy Targ wg fantazyjnego miedziorytu J. Fischera z ok. 1840 r. (zbiory W.A.P.).

króla Ludwika węgierskiego zniósł zameczek szaflarski, fałszerza zaś żywcem spalił; w wyniku ostatecznym owej afery dobra zakonne uległy konfiskacie.

Mieszczańskie nowotarscy nie mieli ambicji właściwych swemu stanowi, wykazując natomiast duże zacięcie do „wojaczki”. Stawali zbrojnie po stronie Kazimierza Jagiellończyka w jego wojnie z Maciejem Korwinem, potem brali udział w walkach pomiędzy Janem Olbrachtem i Władysławem Czeskim. Dostawali przywileje i zwolnienia królewskie za udział w wojnach, ale jakoś trudno doszukać się śladów wydatniejszej troski o gospodarkę miejską. Bardziej chyba czuli się wolnymi „raubszycami” niż kupcami i rzemieślnikami.

Ciekawym epizodem w historii miasta są próby utworzenia przemysłu górniczego. Wedle wzmianek Miechowity, już w średniowieczu w okolicach Nowego Targu dobywać miano rudy srebra; musiały to być jednak próby o ra-

czej niewielkiej skali. Natomiast w pierwszej ćwierci XVII w. zawiązuje się formalna spółka: sufragan Tomasz Oborski, scholastyk St. Skarszewski, wielkorządca krakowski St. Witowski, P. Kamieniecki, J. Vizemberger otrzymują w 1619 r. przywilej Zygmunta III na poszukiwania rud, ich wydobycie i przerób. Wiadomo, że znaleziono rudy miedzi i srebra i że rozpoczęto eksploatację.

Prace te przerwano około roku 1625: gwarków nowotarskich rozpedził — nie zważając na przywileje królewskie — Mikołaj Komorowski, hrabia na Liptowie i Orawie, nowy starosta nowotarski. Jak do tego doszło? Bardzo zвычайnie: zbiesił się pan liptowski. Gdy objął po Witowskim starostwo nowotarskie, zdolał jakoś przyhołubić i skaptować sobie mieszczańskie, ale nie umiał pojąć odrębności „chłoptwa” podgórskiego. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że obowiązują tu inne nieco niż



Widok Nowego Targu z 1840 r. Lawowany akwarelą rysunek piórkciem W. Stęczyńskiego (Gabinet Rycin Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie).



na pozostałych obszarach Rzeczypospolitej prawa zwyczajowe, przywileje i swobody. Chciał wprowadzić w pełni folwarczno-pańszczyźniany układ stosunków, przyjęty podówczas w całej Polsce. Napotykał niespodziewany opór, więc zwiększał podatki i robociznę, podkopywał władzę sołtysów, próbował przełamać nawyki, cisnął. Opór przemieniał się we wrzenie. To było nie do pojęcia — i krew uderzyła do głowy panu liptowskiemu. Rozpędził gwarków nowotarskich, usunął siłą niewygodnego mu proboszcza, począł hulać po wsiach. I oto w styczniu 1631 roku masy chłopskie podeszły pod Nowy Targ. Szturmowały miasto raz i drugi — nawet po przybyciu komisji rozjemczej i nadsygnięciu starościńskich oddziałów wojskowych. Miasta nie zdobyli, ale wytworzył się stan oblężenia, który trwał długo, bo aż do roku 1633. Chłopi ustąpili, gdy umarł Komorowski. Przegrał wojnę pan liptowski.

A potem przychodzi inwazja szwedzka. W roku 1656 marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski idąc za uniwersalem Jana Kazimierza wzywa, aby „harniczy i ktokolwiek jeno z pospólstwa władnąć orężem może, pomogli mu w tey Krakowa oppugnaty”... (szło wówczas o pomoc w odbiciu Krakowa). Echo owego wezwania odnajdujemy w petycji mieszczan nowotarskich, gdy po doszczętnym spaleniu miasta w latach wojen szwedzkich stwierdzają, że „więcey niż pięćdziesiąt samego gospodarza oprócz innego pospólstwa od ręki nieprzyjaciela koronnego zginęło”. Jak widać — „pospólstwo” nowotarskie nie zawiodło i tym razem.

Po inwazji udzielono Nowemu Targowi, a raczej pogorzeliśku, bardzo znacznych ulg i przywilejów, tak że w roku 1660 lustracja znów stwierdza istnienie 84 domów. Ale mimo to ma się już pod koniec dawnemu miastu. Gospodarka, zawsze nieświeżona, rozpręga się ostatecznie. Pożary, liczne już w wiekach ubiegłych, niszczą miasto z coraz większą intensywnością. W roku 1677 spłonęło 24 domy, w 1696 — 16; w 1710 zgorzało znów 41 domów, w 1719 — 68. Pogorzeliśka odbudowuje się od nowa, ale w roku 1784, już po objęciu miasta przez władze austriackie — na Nowy Targ przychodzi zagłada. W dwugodzinnym pożarze ulega zniszczeniu 168 domów.

Właściwie Nowy Targ przestaje istnieć.

Owczesny starosta nowotarski, baron Tschirsch von Segstetten, był jednak człowiekiem upartym i nie zrażającym się trudnościami. Zabrał się do dzieła z dużym rozmachem. Polecił wytyczyć zupełnie nowy plan miasta. Rozszerzył

wa) z r. 1606, restaurowany 1755/66, z dzwonnica z 1701 r. Kościół św. Anny za Dunajcem, drewniany, wielokrotnie przebudowany. Klasycystyczny ratusz i domy rynkowe z lat po 1784. Domy drewniane z gontowymi dachami w ulicach: Ludźmierskiej, Długiej, Waksmundzkiej.

ale zaopatrzoną w „izbę murowaną ze schodami“, zamkniętą na „haki, wrzęciadze, skoble żelazne“...

„Pałacu“ (plebanii?), który także był „z drzewa rżniętego“, ale „trynkowany“ (tynkowany), na „fondamencie podmurowany ceglą y kamieniem“. Miał on „facyatę... quondam malowaną, z

Nowy Targ. Litografia barwiona Kronbacha z r. 1821 (Gabinet Rycin Biblioteki Jagiellońskiej).



znacznie dawny rynek, wytyczył nowe ulice — i prowadził je po zgłiszczach spalonych domów, nad dawnymi piwnicami, placami, studniami bez względu na przeszkody. Pragnąc położyć kres ustawicznym pożarom, wydaje nakaz wznoszenia budynków w kamieniu; wojsko burzy rozpoczęte już budynki drewniane. Ów przepis — rzecz jasna — nie zdołał się utrzymać mimo zatwierdzenia przez kancelarię cesarską; budownictwo drewniane ożywa z powrotem. Ożywa także i miasto; z końcem w. XIX i w w. XX. Nowy Targ staje się poważnym ośrodkiem lokalnego rzemiosła i handlu. Tu właśnie na ożywionych jarmarkach wieś wymienia swe produkty — i tu zaopatruje się w wyroby rzemiosła. W opinii Podgórze określenie „miasto“ staje się synonimem Nowego Targu.

Niewiele dziś zostało z dawnych lat. Kościół parafialny św. Katarzyny — częściowo gotycki (prezbiterium) z roku ok. 1346, częściowo barokowy (na-

Zostały poza tym szpetne garby, naniezione na miasto gospodarką budowlaną z przełomu w. XIX/XX i pierwszego trzydziestolecia w. XX; przeokropne wille „góralsko-tyrolskie“ i ceglanc, bezwyrazowe domki czynszowe.

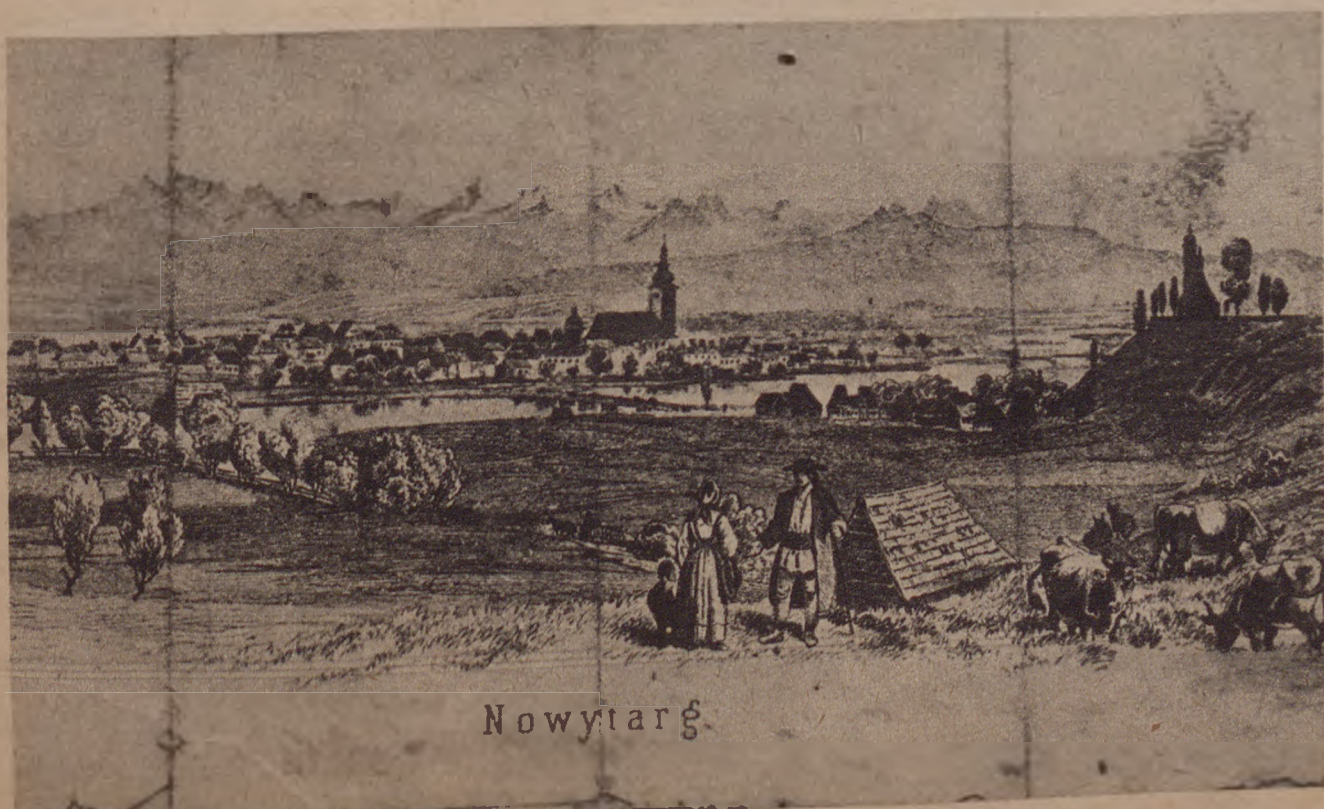
Zostały także opisy pamiątek przepadłych. „Młyn na rzece Dunaycu“, w którym było „kół trzy“. I „pily albo tarcza, w którym tarcice tarło“. Teraz (tj. w r. 1639 — uw. wł.) „iuz nie trą, bo Krol Jego Mość świętey pamięci in anno 1630... znieść się kazał, aby uyma w lasach nie działa się y chłopi aby ciężkości nie mieli“...

Ratusza dawnego, który był „z drzewa rżniętego z podcieniami na słupach wokolo“ i dachem łamanym polskim, pobitym gontami. Miał ów ratusz „wrota podwoyne z tarcie bretnalami przybitych“, okna w olów oprawne, kuny żelazne i piece polewane, izbę arendarską i kramnicę — a także „sadge na więźniów z drzewa całkiem budowaną“.

poddaszkim gontowym“, „kuminów murowanych na dach wywiedzionych dwa“, galanterię otwartą na piętrze, a we wnętrzach zamki i zasuwki gdańskie, kłamki pobielane, kominki „szafiaste murowane z kopułką y gałką na wierzchu wyrobioną“, okna także w olów oprawne na zawiasach — „kruczkach żelaznych“, a także „okna tafłowane“ i drzwi „fassowane“ (tj. stolarskiej roboty, z plicinami i profilami). A przy „pałacu“ oficyna „z gankiem na czterech słupach“, z loszkiem, z dachem „spadzistym“, który był naówczas „wszystek całkiem zły“..

Tak wyglądała przeszłość małego podgórskiego miasteczka, opowiedziana urywkowo i z pośpiechem.

A terazniejszość i przyszłość — to olbrzymi nowotarski kombinat skórzany, który przetworzyć ma życie Nowego Targu i dać podstawy gospodarcze pod projektowaną architektoniczno-urbanistyczną regulację miasta.



Typowy przykład obecnej zabudowy Nowego Targu.

Fot. archiwum „Ziemi“

Nowy Targ od północnego wschodu wg anonimowego miedziorytu z pierwszej połowy XIX wieku (zbiory graficzne W. A. P.).

## Katalog zabytków sztuki w Polsce

Tom II, woj. łódzkie, pod redakcją  
Jerzego Z. Łozińskiego, Państwowy  
Instytut Sztuki, Warszawa 1953

Wydawnictwo katalogów sztuki poszło w Polsce w latach powojennych w dwóch kierunkach: kontynuowano opracowywanie pełnych inwentarzy topograficznych poszczególnych powiatów — razem wyszło ich dotychczas cztery — równolegle zaś przystąpiono do inwentaryzacji mniej wyczerpującej, ale dzięki temu postępującej o wiele szybciej. Wynikiem tej właśnie skróconej inwentaryzacji jest prowadzona przez Państwowy Instytut Sztuki publikacja zwyczajnych katalogów zabytków sztuki w poszczególnych województwach. Do chwili obecnej ukazały się katalogi dwóch całych województw: krakowskiego i łódzkiego.

Katalog w zasadzie ma dać pełny wykaz zabytków sztuki tak ruchomych, jak nieruchomych określonego terytorium. Wyjątek stanowią tylko muzea, o których zawartości znajdujemy jedynie ogólne informacje. Trochę nawet miejscami brak tych informacji, chociaż jest oczywiście rzeczą słuszną, że katalog nie próbował dawać pełnych wykazów zabytków mieszczących się w muzeach.

Układ Katalogu jest niezwykle przejrzysty i pozwala na łatwe z niego korzystanie. Materiał z obszaru województwa zgrupowano powiatami, ułożonymi alfabetycznie, a w obrębie powiatu miejscowościami również w układzie alfabetycznym. Autorzy nieco inaczej potraktowali osady miejskie, inaczej wiejskie. Opis zabytków miasta, często i osady, która była niegdyś miastem, zaczyna się zwykle od krótkich informacji ogólnych: najstarsza wzmianka źródłowa, data lokacji, rozplanowanie, ważniejsze wydarzenia z dziejów miasta. Wsie są owego wstępu historycznego pozbawione. Z kolei następuje dokładny opis każdego zabytku nieruchomego danej miejscowości, poprzedzony również krótką jego historią. Po opisie zabytku nieruchomego następuje zwykle wyliczenie

zabytków ruchomych znajdujących się na jego terenie czy w jego obrębie.

Tak opracowany Katalog zawiera nie tylko pełny na ogół wykaz zabytków sztuki określonego terenu, ale również przynosi znaczny zasób wiadomości z zakresu jego dziejów. Zwiększa to jeszcze bardziej wartość Katalogu. Podstawowe znaczenie posiadać on będzie oczywiście dla badań naukowych nad historią sztuki. Obok tego jednak, podając pewną ilość informacji historycznych o miejscowościach określonego regionu, staje się Katalog wielce pomocnym dla każdego działacza kultury „w terenie”, zwłaszcza przy naszym ubóstwie wydawnictw regionalnych, a już wprost niezastąpionym dla turysty-krajoznawcy.

Oczywiście ten fakt, że z Katalogu jako niekiedy jedynego wydawnictwa z zakresu również historii danego regionu, czerpać będzie wiele osób zupełnie nawet z historią sztuki nie związanych, postuluje wobec autorów i redaktorów Katalogu dbałość o staranne opracowanie każdego tomu nie tylko w partiach opisujących zabytki, ale i w sprawie historycznej. Tymczasem i tam, i tu ostatni tom Katalogu nie jest wolny od szeregu niedociągnięć.

Na wiele słabych stron Katalogu zwrócił już uwagę mgr Zbigniew Ciekliński, wojewódzki konserwator zabytków w Łodzi.

Podkreślił on braki Katalogu w zakresie budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego, już to przemilczanego zupełnie, już to uwzględnionego jedynie w nieznacznym stopniu. Na tle tych braków nieproporcjonalnie dużo miejsca zajmują architektura kościelna oraz sakralne zabytki ruchome. Wyraża się to szczególnie jaskrawo w doborze ilustracji. Mgr Ciekliński w swej recenzji prostuje szereg błędów formalnych i omyłek rzeczowych, wszakże jedynie ściśle

trzymając się zakresu historii sztuki. Niestety pewna ilość błędów wkradła się również i do komentarza historycznego, którym opatrzone poszczególne miejscowości i zabytki. Oto parę przykładów:

Na przykład Brzeziny. Autorzy powtórzyli za Cerchą, że kościół parafialny w Brzezinach istniał już w roku 1139, wszakże wiadomościami te nie potwierdza się w źródłach. Pierwsza pewna wzmianka, nie o samym zresztą mieście, ale o kasztelanii brzezińskiej pochodzi dopiero z roku 1332. To, co autorzy nazwali „starszą częścią miasta przy kościele parafialnym”, to po prostu przedlokalijne Brzeziny, zwane od momentu powstania osady lokalijnej wokół istniejącego do dziś rynku Nowego Miasta, Miastem Starym. Plan tych lokalijnych Brzezin nie jest też zupełnie nieregularny, skoro ośrodkiem ich jest rynek „kwadratowy z ulicami rozchodzącymi się z narożników”. Piszą autorzy o Brzezinach feudalnych: „z biegiem czasu rozbudowywane i powiększane”. Więcej mówiące a niewiele dłuższe byłoby może sformułowanie: „Rozrost w XVI wieku — największe wówczas miasto w ziemi łęczyckiej — gruntowany na świetnym rozwoju sukiennictwa.”

Grabów. Miasteczko założone bynajmniej nie dopiero w wieku XIX. Grabów był miastem najpóźniej już w początkach wieku XVI i pozostał nim do końca okresu feudalnego. Stwierdzają to wyraźnie wszystkie taryfy podatkowe z owych czasów, a ze źródeł, które autorzy mieli w ręku, choćby *Liber beneficiorum*.

Łęczycza. Trochę niefortunnie wypadło zdanie „gród pierwotnie po przeciwnej stronie Bzury”, ponieważ właśnie w okresie funkcjonowania grodu, Bzura płynęła, przynajmniej okresami, między nim a miejscem, gdzie stała kolegiata. Broniący przeprawy gród znajdował się więc

po tej samej stronie co i dzisiejsze miasto. Łęczycza w miejscu obecnie zajmowanym znajduje się nieprzerwanie od chwili lokacji, której dokonano około połowy XIII wieku, a więc nie Kazimierz Wielki ją tu przeniósł po najeździe krzyżackim. Władysław Jagiełło nie przeniósł w roku 1400 Łęczycy na prawo magdeburskie — wystawił jedynie nowy dokument lokacyjny z powodu zniszczenia dawnego. Można by wreszcie dodać, że pierwotna osada miejska sprzed lokacji — Stare Miasto — mieściła się na południe od dzisiejszej Łęczycy, mniej więcej na terenie przedmieścia Waliszewo. Niepotrzebny też wydaje się znak zapytania w ustępie o kościele parafialnym w Łęczycy po zdaniu „pierwotny miał istnieć 1299 (?)”, bowiem dokument Władysława Łokietka z roku 1323, potwierdzający przywileje dane kościołowi łęczyckiemu w roku 1299 na prośbę proboszcza tego kościoła, nie odnosi się przecież ani do kolegiaty w Tumie, ani do kościółka św. Krzyża na Starym Mieście, dwóch najstarszych kościołów łęczyckich.

Piątek. Warto dodać: „wzmiankowany w roku 1241”, a po zdaniu „pomyślny rozwój w XV—XVI” dorzucić „oparty na świetnie rozwiniętym browarnictwie.” Przecież Piątek był jednym z najpoważniejszych producentów piwa w feudalnej Polsce i dzięki temu jednym z najludniejszych miast ziemi łęczyckiej.

Oczywiście same uzupełnienia można by mnożyć, gdyby nie obawa przed ich zbyt dużym rozrostem w stosunku do istotnych części Katalogu, zajmujących się wyliczaniem i opisem zabytków. Usterki zauważane są raczej mniejszej wagi — zwracamy na nie uwagę głównie dlatego, że jak wspomniano już poprzednio, Katalog w użyciu praktycznym wykrywa często poza rolę tylko rejestratora zabytków danego regionu i używany jest nieraz „w terenie”, choćby przez turystów, jako źródło wiadomości z dziejów miejscowości czy zabytku. Stąd wynika postulat dbania również i o staranność oprawy historycznej. Wydaje się, że na przyszłość przy opracowywaniu dalszych województw przydałaby się współpraca redaktorów katalogu z historykami badającymi dzieje gospodarcze i polityczne właściwych regionów.

Andrzej Tomczak

Autor recenzji przesłał znacznie dłuższą listę sprostowań i uzupełnień, z których zamieściliśmy tylko przykłady. Sądzymy, że całością materiałów może zainteresować się Państwowy Instytut Sztuki i wykorzystać ją z pożytkiem dla nauki przy następnym wydaniu lub w ewentualnym zeszycie sprostowań.

Oczywiście redakcji znane są trudności pracy inwentaryzatorów zabytków w terenie jak też fakt, że ustalony instrukcją tok pracy kładzie szczególny nacisk przede wszystkim na możliwie

wyczerpujące ujęcie materiału zabytkowego i jego właściwą kwalifikację z punktu widzenia historii sztuki. Dlatego też wzmianki historyczne ograniczone zostały do krótkich i najważniejszych danych, które głównie powtarzane są z dostępną bibliografią. Danych zawartych w archiwaliach inwentaryzatorów w zasadzie nie jest obowiązany wykorzystywać: praca prowadzona w tym kierunku wydawnictwem opóźniłaby całokształt pracy, nie dając rękami pełnego wykorzystania wszelkich danych i ich krytycznej oce-

ny. Pragniemy również podkreślić pionierski charakter pracy inwentaryzatorów zabytków w Polsce, którzy zasadniczo po raz pierwszy ujmują w katalog zabytki całych terenów, nie mając z reguły do dyspozycji ani środków lokomocji, ani potrzebnego sprzętu, a często natrafiają przy tym na trudności i brak zrozumienia.

Uważamy, iż projekt autora recenzji wzbogacenia treści katalogu zabytków przekonsultowaną podbudową w danych historycznych jest rzeczą cenną i godną

pilnej realizacji, zwłaszcza iż wiadomo, że trzeci tom Katalogu (wojew. kielecki) — oddany został do druku. Proponujemy, aby zespół redakcyjny każdego tomu Katalogu zabytków — przed oddaniem pracy do druku zasięgał opinii kompetentnych historyków lub instytucji, byleby taka konsultacja nie opóźniała wydawnictwa. Może Państwowy Instytut Sztuki znalazłby na ten cel fundusze, które przecież nie byłyby zbyt wielkie. Trud ten i koszt obciążłyby się.

Redakcja

## UWAGI O „HISTORYCKYM MIESTOPISIE ORAWY”

A. Kavuljaka

Orawę, która jest najbliższą od zachodu sąsiadką Nowotarszczyzny, można podzielić pod względem fizjograficznym na dwie części: część południową, czyli Dolną Orawę, i część północną, przyległą do Pilska i Babiej Góry, czyli tzw. Górną Orawę. Granicę między obu tymi częściami stanowi pasmo Magury Orawskiej. Powyższy podział uzasadniony jest także względami etnograficznymi, gdyż na Górną Orawę, mimo stałego cofa-

nia się granicy językowej polsko-słowackiej ku północy, zachowały się jeszcze wsie mówiące po polsku.

Ostatnia praca Andrzeja Kavuljaka *Historyckie Miastopis Orawy* (Vyd. Slovenska Akademia Vied, Bratislava 1955) nie uwzględnia powyższego podziału, lecz podaje monograficzny opis wszystkich miejscowości orawskich, bez względu na ich położenie i przynależność językową i polityczną (obejmuje bowiem także 13 wiosek orawskich należących do Polski, mianowicie do powiatu nowotarskiego). W *Miastopisu* podano język wszystkich tych wiosek jako słowacki, z zaznaczeniem przy niektórych, jakoby mówiły „narzeczem góralskim”, przez które autor *Miastopisu* rozumie... narzecze języka słowackiego; nie jest to zgodne z faktycznym stanem rzeczy, bo gwara tych wiosek jest czysto polska.

Najwięcej zastrzeżeń z naszej strony budzić musi pierwsza ogólna część pracy, gdzie błędnie przedstawiono historię osadnictwa Górnej Orawy. Autor nie tylko zaprzeczyl możliwości przenikania elementu polskiego na dolną, etnograficznie słowacką, Orawę, ale wysunął tezę, że nawet w tych 24 do dnia dzisiejszego mówiących po polsku wsiach orawskich, takich jak np. Jabłonka, Podwilk, Piekielnik, Rabcza, Wesole, pierwszymi osadnikami byli Słowacy napływający z okolic Kubina i Zámokw Orawskich czy też nie określani bliżej narodowościowo tzw. „Wotosi”. Opierając się na urbarzu z r. 1624 spisany przez prowizora Litasy'ego, autor *Miastopisu* orzekł, że o słowackości tej grupy Orawiaków, zwanej przez niego „góralami”, świadczą jej nazwiska. Nie wziął jednak pod uwagę tego faktu, że Litasy nie był

Polakiem i że nazwiska osadników zapisywał w panującym za jego czasów na Słowacji języku „czeskosłowackim”, będącym mieszaniną czeszczyzny i różnych dialektów słowackich. Litasy zapisywał więc nazwiska: Kudliac, Svrcek, Głownjk, Tessler, Kolodey, Głussek, Gensor, Marssalek, Tyscan, Otruba, Veselovszky, a nie tak, jak brzmiały one istotnie i jak je dzisiaj jeszcze lud nasz wymawia: Kudłac, Świercek, Głownik, Cieśla, Kołodziej, Głuszek, Gensior, Marsalek, Cysoń, Otręba, Wesolowski... Na polskości tych nazwisk zwrócili uwagę już przed kilkudziesięciu laty czescy uczeni Sembera i Polivka.

Wsie polskie, o które nam tu chodzi, powstały w bezludnej puszczy orawskiej w latach od 1561 (Jabłonka) do 1690 (Mutne, Sihelne, Nowoc), osadnikami ich byli chłopcy polscy zbiegają-

cy masowo z pańskich majątków Małopolski i częściowo Śląska Cieszyńskiego. Panowie polscy upominali się o zwrot tych zbiegów, żądali od węgierskich feudałów zaprzestania akcji werbunkowej zachęcającej do zbiegostwa, ślali listy w tej sprawie do zwierzchności węgierskiej, a cały ten materiał korespondencyjny powinien być znany Kavuljakowi, bo został opublikowany przez Władysława Semkowicza w *Materialach do dziejów osadnictwa Górnej Orawy*, wydanych w r. 1932 (cz. I) i w r. 1938 (cz. II). Dla Kavuljaka najważniejszym dowodem na to, że wsie „góralskie” nie mogły mieć ludności polskiej, jest — oprócz nazwisk rzekomo słowackich — także zarządzenie z r. 1620 zabraniające prowizorowi Zamków Orawskich przyjmowania na Orawę poddanych Mikołaja Komorowskiego z Żywca. Ale przecież powyższe zarządzenie pochodzi z r. 1620, gdy już istniała znaczna większość, bo ponad 2/3 wsi polskich na Górnej Orawie, a po wtóre trzeba mieć i to na uwadze, że zarządzenie to zostało wydane w okresie sporu Mikołaja Komorowskiego z Thurzonami, zwabiającymi na Orawę polskich osadników. Komorowski upominał się o zwrot swych poddanych, których liczbę oceniał w jednym z listów na 400, a nie mogąc ich odzyskać spustoszył orawską Półgórze. Zatarg był tak poważny, że stała się konieczna interwencja obu dworów królewskich: polskiego i węgierskiego. Stąd ten nakaz dany prowizorowi w r. 1620. Zakaz ten zresztą rychło poszedł w zapomnienie, zbiegostwo na Orawę po wojnie szwedzkiej nie tylko nie ustalo, ale wzmoгло się ogromnie, na co mamy wiele świadectw źródłowych.

Są to sprawy znane chyba Kavuljakowi z prac prof. W. Semkowicza, który publikując *Materialy do dziejów osadnictwa Górnej Orawy*, dziękował w przedmowach do obu tomów Kavuljakowi za pomoc w wydaniu tych dokumentalnych materiałów i pisał pod jego adresem: „nie byłbym nigdy wydawnictwo moje doprowadził do skutku, gdyby nie nadzwyczaj ochotna i wybitna pomoc, jakiej doznałem ze strony słowackich przyjaciół, którzy nie wątpiąc w szczerą i czysto naukowe moje intencje i zdając sobie sprawę, że wydawnictwo to, dotyczące pogranicza Polski i Słowacji, służyć będzie nauce obu sąsiednich, tak bliskich sobie narodów, polskiego i słowackiego, nie szczędzili czasu i trudu, aby dopomóc wydawcy”.

A. Kavuljak był jednym z tych bezstronnych historyków, który już w r. 1927 wydając piękną książkę *Hrad Orava* pisał w niej o lokowanych wprawdzie na prawie wołoskim ale etnicznie i kulturalnie rdzennie polskich wsiach na Górnej Orawie i wyraźnie przeciwstawiał je wsiom słowackim Dolnej Orawy, gdzie innoplemienne pierwiastki — rumuńskie, ruskie i polskie — zostały zasymilowane przez Słowaków. Tymczasem w *Miestopis* spotykamy się z gosłosłownym zaprzeczeniem temu wszystkiemu, o czym świadczą dokumenty.

W innym miejscu dowiadujemy się, że pierwotnie ludność tych „góralskich” wiosek była wołoska, osadzona tutaj do obrony granic węgierskich jako element... nienawidzący polskich feudałów, gdyż Wołochów orawskich „narodowe, językowe i religijne różnice czyniły już w ich praojczyźnie (tzn. w Polsce; przyp. aut.) stałymi antagonistami, naturalnymi przeciwnikami językowej (sic) i religijnej polityki polskich feudałów”. Dlaczego te same „językowe i religijne” różnice nie miałyby tych domniemyanych Wołochów czynić antagonistami węgierskich feudałów, którymi wszak byli nie tylko Węgrzy, ale i Polacy, Niemcy, Słowacy, tego już Kavuljak nie wyjaśnia. Niekonsekwencja i tendencyjność tym bardziej rzuca się w oczy, że na innej stronie *Miestopisu* wołoska ludność Górnej Orawy uznana została za słowacką. A przecież wiemy, że ludność tych „wołoskich” wiosek, bo lokowanych „iure valachico” stanowili polscy wieśniacy ściągający tu z dóbr żywieckich, suskich, jordanowskich, oświęcimskich, cieszyńskich i innych w XVI i XVII w. Dzięki bogatym materiałom archiwalnym znamy ich rodowód, znamy ich po imieniu i nazwisku. I dzisiaj jeszcze w 24 wsiach mówią po polsku, a dawniej mowa

ANNA DZIEDUSZYCKA  
i JADWIGA KAMIENSKA

Kursujące do dziś wśród okolicznej ludności legendy zdają się świadczyć o dużym znaczeniu, jakie miało grodzisko w Stradowie. Niegdyś stał tu podobno zamek, podziemnym korytarzem połączony z zamkiem budowanym przez Bolesława Chrobrego w Chrobrzu, gdzie żona jego przemieszkować miała. Opowiada się także o podobnym korytarzu łączącym Stradów z Wiślicą. Próby zaostrzenia majdanu na grodzisku spotkały się według opowiadań najstarszych wieśniaków z niepowodzeniem: „zły nie pozwalał orać”. Gdy gospodarze zostawili kiedyś plugi na noc na grodzisku, znaleźli je następnego dnia powywracane na drodze u stóp góry. Ponoć co roku na Wielkanoc brama grodziska sama się otwiera i ten, kto wtedy znalazłby się przy niej, posiadać mógłby ukryte tu skarby.

Przejdźmy jednak od legend do faktów. Grodzisko leży na łagodnym wzgórzu na północ od wsi Stradów pow. Kazimierza Wielka. Tylko zachodnie zbocza wzgórza podmyła mała rzeczka Stradomka, czyniąc je bardzo stromymi. Powierzchnię około 1,5 ha otaczają zachowane do dziś potężne wały. Wysokość ich dochodzi do 18 m. Usypane są one w kształt nieregularnego wieloboku. Od zewnątrz wysokość wału powiększa jeszcze głęboka fosa biegnąca wokół strony zewnętrznej. Szerokość fosy wynosi obecnie około 2 m. Rozszerzenia znajdujące się w kilku narożnikach wału to zapewne ślady istniejących tam niegdyś baszt. W północno-wschodniej stronie znajdowała się prawdopodobnie brama, po której pozostała do dziś jedynie wyrwa w kształcie litery V. Do grodziska przylegało z trzech stron rozległe podgrodzie o powierzchni przeszło 20 hektarów, otoczone dwoma wałami. Dziś są one tak zniszczone przez orkę, że pozostały po nich jedynie niewielkie wzniesienia. Oprócz wałów opasujących grodzisko i podgrodzie znajdują się tam wały pomocnicze, świadczące o rozległym systemie obronnym.

Daremnie w źródłach historycznych szukalibyśmy wiadomości o tym olbrzymim grodzisku. Najstarsza wzmianka o samym Stradowie pojawia się w aktach sądowych kapituły krakowskiej około połowy XIV w. Wtedy to stał przed sądem kapituły Borislaus de Stradow, a następnie w dokumencie Jana biskupa krakowskiego pojawia się świadek Nicolaus de Stradow. Nadto Długosz podaje, że w Stradowie istniał kościół parafialny pod wezwaniem św. Bartłomieja. Do dóbr kościelnych należały role folwarczne, łąki, zagrodniki i 2 gaje, dziedzicami zaś byli Krzysztof Szafraniec herbu Starzykoń, Idzi de Schudol herbu Habdank i Stanisław Romak. Poza tym źródła milczą. To tajemnicze milczenie otaczające gród tak potężny jest tym dziwniejsze, że w sąsiedniej, oddalonej o 15 km Wiślicy, znajdował się gród o wiele mniejszy, będący jednak stolicą wymienianej dość często w źródłach kasztelanii.

W październiku 1956 r. wyruszyła z Krakowa ekspedycja Muzeum Archeologicznego, zorganizowana przez prof. dra Stefana Noska, w celu

przeprowadzenia wstępnych badań w grodzisku w Stradowie. W wyniku tych badań ustalono, że majdan grodziska zabudowany był w pobliżu wału oraz w niektórych partiach centralnych. W najniższej części majdanu, od strony zachodniej, znajdował się do niedawna jeszcze istniejący staw, którego warstwa namuliskowa sięgała do przeszło 3 m głębokości. Nie jest wykluczone, że staw ten już w okresie istnienia grodu tam się znajdował. Badania na podgrodzie wykazały, że osadnictwo było tu bardzo gęste. Wskazują na to liczne znajdowane ślady domów,

szczątki palenisk, piece piekarskie często dobrze zachowane, liczne fragmenty naczyń i inne przedmioty. Silnie przepalone wały zarówno grodu, jak i podgrodzia zdają się niedwuznacznie świadczyć, że cały ten obiekt został niegdyś spalony. Wstępne badania potwierdziły dotychczasowy pogląd, że gród ten istniał w wieku XI, a jest możliwe, że początki jego sięgają nawet wieku IX. W następnych latach badania wykopaliskowe powinny nam wyjaśnić wiele zagadek związanych z powstaniem grodu, jego funkcją i upadkiem.

## NAJWIĘKSZE GRODZISKO W POLSCE

przeprowadzenia wstępnych badań w grodzisku w Stradowie. W wyniku tych badań ustalono, że majdan grodziska zabudowany był w pobliżu wału oraz w niektórych partiach centralnych. W najniższej części majdanu, od strony zachodniej, znajdował się do niedawna jeszcze istniejący staw, którego warstwa namuliskowa sięgała do przeszło 3 m głębokości. Nie jest wykluczone, że staw ten już w okresie istnienia grodu tam się znajdował. Badania na podgrodzie wykazały, że osadnictwo było tu bardzo gęste. Wskazują na to liczne znajdowane ślady domów,

szczątki palenisk, piece piekarskie często dobrze zachowane, liczne fragmenty naczyń i inne przedmioty.

Silnie przepalone wały zarówno grodu, jak i podgrodzia zdają się niedwuznacznie świadczyć, że cały ten obiekt został niegdyś spalony.

Wstępne badania potwierdziły dotychczasowy pogląd, że gród ten istniał w wieku XI, a jest możliwe, że początki jego sięgają nawet wieku IX.

W następnych latach badania wykopaliskowe powinny nam wyjaśnić wiele zagadek związanych z powstaniem grodu, jego funkcją i upadkiem.



W północno-wschodniej stronie wału grodziska w Stradowie znajduje się głęboka wyrwa — niegdyś była to zapewne brama.

Fot. Aleksander Wasilewicz

Widok ogólny grodziska położonego na północ od wsi Stradów (pow. Kazimierza Wielka) nad rzeczką Stradomką.

Fot. Aleksander Wasilewicz



mógł taką pracę napisać. Druga, szczególnie, jej część nie wywołuje już tylu zastrzeżeń co pierwsza, ogólna, różnie nasuwająca refleksje.

Praca A. Kavuljaka została opublikowana po śmierci tego cenionego historyka pod redakcją dra Piotra Ratkosa. Przyznaje on we wstępie, że re-

dakcja wprowadziła w tym pośmiertnym wydaniu pracy Kavuljaka... „mniejsze zmiany”. Nie wiemy, niestety, jakiego rodzaju były te „zmiany”. Obawiamy się, że naruszyły one zasadniczy sens wywodów zmarłego autora.

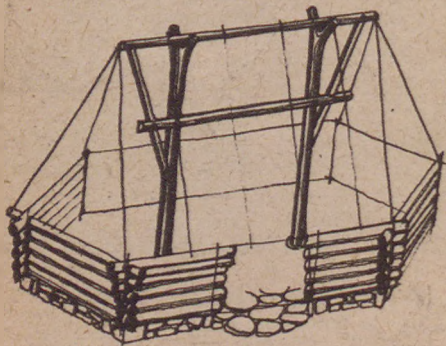
Marian Gotkiewicz

# Zabytkowe budownictwo ludowe w powiecie olkuskim

WIESŁAW NOWAKOWSKI



▲ Ośmioboczna stodoła ze wsi Sułoszowa w pow. olkuskim. Wszystkie zdjęcia i rysunki autora.



← Schemat konstrukcji stodoły sześciobocznej ze wsi Sułoszowa.

▼ Wrota wozowni ze wsi Sułoszowa w pow. olkuskim



Droga z Pieskowej Skały do Olkusza biegnie płytką doliną między zadrzewionymi łagodnymi wzgórzami, wśród których miejscami bieleją wapienne fragmenty skał. Jest to stary trakt z Krakowa do Wrocławia.

Mniej więcej dwa kilometry za zamkiem zaczyna się wieś Sułoszowa, ciągnąca się wzdłuż drogi na przestrzeni około sześciu km, a rozrzucona na szerokości prawie pół kilometra. Rozmiary te są imponujące, a liczby 6 tysięcy mieszkańców (przed r. 1938 — 9000) mogłoby wsi tej pozazdrościć niejedno miasteczko. Sułoszowa zresztą miałaby prawo do takiego miana, gdyż już w roku 1315 otrzymała przywilej lokacyjny na prawie niemieckim od Władysława Łokietka, a jej sołtysi zasiadali jako ławnicy sądu w grodzie krakowskim.

Na próżno by jednak szukać tu zabytków budownictwa miejscowego. Poza olbrzymim kamienno-ceglanym kościołem pseudorenesansowym, zbudowanym na miejscu zabytkowego przez architekta Sasa-Zubrzyckiego w latach 1933—39, oraz małą ilością murowanych domów mieszkalnych z XX wieku, przewagę posiadają tu drewniane budynki kryte słomianą strzechą. Odnaczają się doskonałymi proporcjami dachów i ścian tworząc miejscami całe zespoły chałup, stodoł i spichlerzy, malowniczo położone na stokach wąwozu.

Podobny charakter zabudowy, ale bardziej jednolity, bo z mniejszym procentem murowanych budynków ma Kosmołów, wieś leżąca przy tymże trakcie, tuż za Sułoszową, lecz już na piaszczystym płaskowyżu olkuskim. Kosmołów również jest długą ulicówką, od Sułoszowej różni się węższym pasem zabudowy przy drodze. Wpłynęło na to z pewnością odmienne ukształtowanie pionowe, w Sułoszowej bowiem oprócz pasa budynków po obu stronach drogi, zabudowane są stoki i krawędzie wąwozu.

Zagrody bogatych gospodarzy, składające się nieraz z kilku budynków, położone są prawie zawsze na wzgórzach i graniczą bezpośrednio z rozciągającymi się za nimi polami, tworząc najlepiej zachowane zespoły, między innymi charakterystyczne „okóły”. Samotne chałupy biedoty, małorolnych rzemieślników i wyrobników grupują się niżej, przy drodze, ulegając przebudowom i zniszczeniu w związku z przeprowadzaniem i regulacją dróg.

Spośród zagadnień budownictwa mieszkalnego i gospodarczego zwróćmy w tych wsiach uwagę na trzy, szczególnie interesujące pod względem etnograficznym i konserwatorskim. Są to: „okół”, budownictwo wieloboczne

i konstrukcja sochowo-śleminio-wa.

„Okół” jest starą, lecz wcale nie powszechną formą zagrody. Budynki, mieszkalne i gospodarskie, zamknięte w czworobok, tworzą rodzaj podwórza, którego centrum stanowi często dół gnojowy. W okole nie mieści się stodoła. Z reguły znajduje się ona poza nim. Na podwórzu wiedeńskie szeroka brama, a czasem są dwie przejazdowe. Podobne „okóły” spotykamy także na Podhalu, w Krakowskim, na Mazowszu i w niektórych innych częściach kraju.

Okóły sułoszowskie nie mają otworów okiennych w zewnętrznych ścianach zespołu, lecz tylko małe wyglądy. Całość sprawia wrażenie małej fortecy. Czy jednak obronność była przyczyną powstania tej formy zagrody? A może ochrona przed warunkami atmosferycznymi?

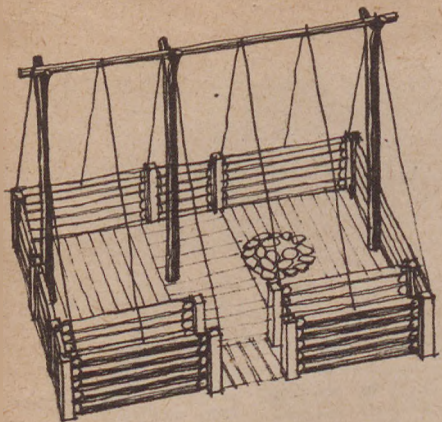
Ciekawe jest zagadnienie konstrukcji śleminio-sochowej, nazwanej przez sułoszowskich chłopów „na śleminie i sochę”. Należy ona do najpierwotniejszych w budownictwie i niewiele zachowało się jej przykładów.

Największym znanym skupiskiem budynków z zastosowaniem tej konstrukcji są wykopaliska na terenie osady sprzed około 2500 lat w Biskupinie (Wielkopolska). Toteż ilość soch zachowanych obecnie w Sułoszowej może być uważana za rewelacyjną. Nie mogą one być porównywalne historycznie z Biskupinem, znajdują się bowiem w budynkach, pochodzących co najwyżej z połowy XIX w., a często z początku XX w.

Rozpiętość 25 wieków, dzieląca dwa znane nam skupiska tego typu budowli przedstawia „wyspę sułoszowską” w bardzo zagadkowym świetle. Czy istnieje jakaś ciągłość tradycji konstrukcyjnej od pramieszkańców tego kraju? Czy budownictwo Sułoszowej jest ściśniętą pozostałością jakiegoś większego obszaru, na którym stosowano prymitywną konstrukcję sochy?

Odpowiedź na te pytania musi na razie pozostać w sferze domysłów. Dopiero wtedy, gdy badania terenowe odnajdą resztki konstrukcji śleminio-sochowych w innych regionach lub też, gdy stwierdzony zostanie ich brak, można będzie powiedzieć coś pewniejszego.

Na czym polega konstrukcja sochy i śleminia? Sochy to po prostu nie obrobione, rozwidłone na końcu słupy wbite w ziemię. Na nich leży pozioma belka-śleminie, również nie obrobiona. W ten sposób buduje się u wielu ludów prymitywnych szafasy.



1



2

1 Rekonstruowany schemat chaty biskupińskiej.

2 Socha naturalna i socha pozorna (sztuczna), stosowane w konstrukcji dachów w Sułoszowej.

3 Spichrz drewniany ze wsi Sułoszowa.

4 Czworoboczna stodoła (dach konstrukcji sochowej) z Kosmółwa w pow. olkuskim.

5 Spichrz drewniany ze wsi Sułoszowa.

6 Stodoła sześcioboczna (dach konstrukcji sochowej) ze wsi Sułoszowa.



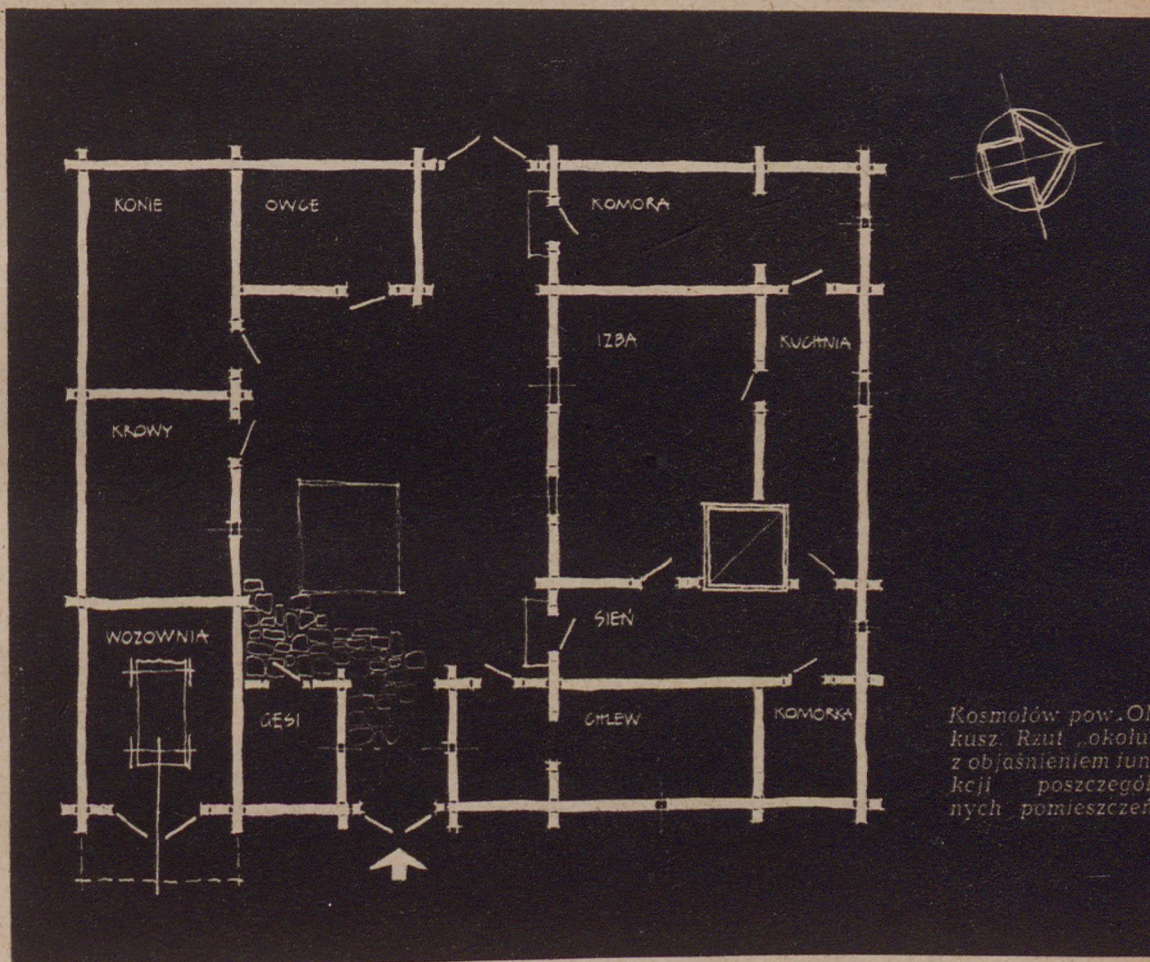
Sułoszowa, pow. Olkusz. „Okół” — stara forma zagrody, w której zamknięte w czworobok budynki mieszkalne i gospodarskie połączone są w jedną całość.



3



4



Kosmółwa pow. Olkusz. Rzut „okołu” z objaśnieniem funkcji poszczególnych pomieszczeń.



WALERY WIELOGŁOWSKI O SŁASKU

W r. 1865 ukazała się książka pod obiecującym tytułem: *Podróż po szerokim świecie, czyli jak jest gdzie indziej, a jak u nas?* Krakowski pisarz Walery Wielogłowski spisał w niej swe wrażenia z podróży z Krakowa przez Śląsk do Drezna, Lipska, a potem do Belgii i Francji.

Walery Wielogłowski to publicysta o szerokim kręgu zainteresowań. Brał udział w powstaniu w r. 1831, później wyemigrował do Francji, po powrocie do Polski założył w Krakowie księgarnię, redagował trzy pisma: „Ognisko”, „Tygodnik Rolniczy” i „Niewiastę”. Napisał szereg książek o przeróżnej tematyce, jak np. *Polska na drodze pokoju i miłości*, *Gawędy gospodarskie*, *Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego*, *O potrzebie banków rolniczych* i inne.

Ze swej wędrowki po Śląsku zostawił opisy zakładów metalurgicznych w Tarnowskich Górach i Gliwicach.

Tarnowskie Góry to dawny ośrodek polskiego przemysłu. Dziś pozostały tylko po nim wspomnienia w postaci starych sztolni, które mają być udostępnione do zwiedzania. Wiemy, że kopalnie srebra, ołowiu, cynku i rud żelaznych istniały tu już w wieku XIII, a ich rozkwit przypada na okres Odrodzenia. W wieku XVI w tarnogórskich kopalniach istniały już drewniane odwadniarki poruszane siłą koni. To wyraz dużego postępu technicznego w ówczesnym polskim górnictwie. Innym przykładem postępowych tradycji tech-

nicznych tarnogórskiego przemysłu jest zastosowanie w kopalniach już w 1788 r. maszyny parowej.

Przejeżdżając przez Tarnowskie Góry Wielogłowski tak pisze o miejscowych hutach ołowiu:

„Jadąc przez różne wsie i miasteczka, przyjechałem do Tarnowskich Gór, zwanych Królewskimi Hutami, gdzie ołów topią. Tu się dopiero było czemu przypatrzeć, jak tu maszyna parowa wszystko robi, czemu by i sto koni a pięćset ludzi nie podolało. Straszna to siła ta para!! W jednym kotle woda się gotuje, a tu rozmaite koła się obracają! Stępy żelazne tłuką rudę na miał, znowu się ta ruda płucze, i co nie jest kruszcem to odpływa z wodą, a tylko ołów jako cięższy zostaje. Znowu winda poruszana parą kruszec do pieca dźwiga, a miechy okrągłe poruszone innym kołem dmiają jak w piekle w ogień. Ołów aż piszczy, tak się smaży, topi i gotuje, a dopiero gdy wyrzuci na wierzch szumowiny, spuszcza ją go z pieca i płynie srebrzystą strugą w piaskowe formy”.

Równie głębokie wrażenie zrobiły na Wielogłowskim zakłady metalurgiczne w Gliwicach:

„Wyjechawszy z Gór Tarnowskich przybyłem wieczór do Glejwicy i tam to dopiero wszystko mnie zastanawiało, aż z początku sobie ułożyłem w głowie nie mogłem patrząc na te dzieła ludzkiego przemysłu. Tu piece, z których płynie żelazo, tu znowu gdzie się czy-

ści, tu różne formy, w których się odlewają garczki, kraty, blachy, mosty i słupy. Tam kuja kowale, tu się kręcą hutnicy i górnicy w mundurach, to jest w czarnych koszulach ze skórą z tyłu. Znowu urzędnicy i dozorczy się przechadzają, fury i bryki jadą po towar. Walcownie piszczą i płaszczą żelazo na blachę tak cienką jak papier. Wszędzie praca i zajęcie, a wszędzie dar boży głęboko w ziemi ukryty ludzie na wierzch wydobywają i na użyteczne przerabiają narzędzia. To żelazo, które niedawno w rudzie czerwieniło się jak prosta glina, dzisiaj jest przemienione na krucyfiks do nagrobku albo na łańcuszek do stroju lub na pierścionek misterny. Tam dalej drutownia z szyny żelaznej ciągnie tysiące łokci drutu, a żelazo grube, siłą pociągane przez różne dziurki, wychodzi cienkie jak igła; dalej znowu gwoździarze robią gwoździe wielkie i małe, i każdy, który pracuje, z tego żyje i jeden drugiemu pracę podaje, zacząwszy od tego, co rudę kopie, aż do tego, co gwoździe robi. O cuda! cóż to za dobrodziejstwo dla świata to bogactwo w żelazie i ta sposobność zarobku dla ludzi, którzy z pracy rąk żyją. Bardzo mi się to wszystko podobało i zwiedzałem wszystkie warsztaty, ale gdybym to chciał w szczegółach opisać, to bym tego na wołowej skórze nie zmieścił”.

Ten widok gwałtownie rozwijającego się na polskich ziemiach, lecz opóźnianego przez cudzoziemców przemy-

ślu dyktuje na koniec Wielogłowskiemu słowa pełne gorczy:

„Otóż to wszędzie praca i przemysł ludzki tyle tworzą i kraj wzbogacają. A u nas szczególnie w Krakowskim, cała ziemia nosi we wnętrznościach swoich kruszce: galman, czyli cynk, jest wszędzie: wapno, węgiel, żelazo, glina ogniotrwała, cement, marmury, z których się ołtarze robią, są w obfitości, ale ani nie ma komu kopać, ani o czym kopać. — Wszyscy ubodzy i większa część ludzi leniwych, woli nie zarobić jak się urobić. Każdy mówi: „Nie robił tam tego mój ojciec, to i ja się bez tego obejdę” albo „Dzisiaj żyję, a jutro umieram, co mi się kłopotać”. Nie robił twój ojciec, to ty podwójnie masz obowiązek robić i za ojca, i za siebie, bo gdyby twój ojciec robił, to już by kraj był bogatszym. Wreszcie zastanówcie się nad tym, że Prusaki u was prawo szukania i kopania kruszców zakupują, a wy im to prawo za darmo prawie sprzedajecie. Oni mądrzy, bo sami zjedzą mięso, a wam ani go powąchać nie dadzą. Gdyby jaki taki był z was przemyślny, zabięgiwy i pracowity, to by z swojej roli glinkę ogniotrwałą (która w wielu miejscach jest pod wierzchem) sam kopał, albo się skompanił z innymi i na spółkę traktował; ale że wy nie jesteście pracownicy, więc jaki taki woli umrzeć głodem jak się wzięć do porządnej roboty”.

Opracował Józef Dużyk

Zamiarle ośrodki garncarskie

Na próżno pytać by dzisiaj w Borzęcinie i Bielczy o garncarza. Nikt z mieszkańców tych wsi nie słyszał o tym, aby kiedykolwiek istniała tu ludowa wytwórczość ceramiczna. Miejscowości tych nie znajduje się również na mapie przedstawiającej historyczny rozwój garncarstwa w Polsce. Jej autorzy bowiem na pewno nie słyszeli o takich ośrodkach, podobnie jak i wspomniani wieśniacy.

Zarówno w Bielczy jednak, jak i w Borzęcinie (dawniej zwanym Borzęcinkiem) w powiecie brzeskim w roku 1757 z całą pewnością istniały ośrodki garncarskie. Opisane zosta-

ły one bowiem w tym roku w *Inwentarzu klucza radłowskiego*, rękopiśmiennym opisie majątków ziemskich stanowiących własność biskupów krakowskich.

W rozdziale „O garncarzach bieleckich” czytamy: „Garncarzów, ile ich znajdować się będzie, każdy powinien zapłacić do prowentu pańskiego czynszu zł. cztery, do tego wydać garków lub kafli kop sześć, lub gdyby tych garków albo kafli tak wiele nie potrzebowano na dworską potrzebę, płacić powinni za każdą kopę po zł. dwa, jako pod Borzęcinkiem będzie obszerniej opisano, tudzież piece po folwarkach, gdy potrzeba zajdzie bez płacy mają”.

Na stronie 130 opisano „obszerniej” obowiązki garncarzy z Borzęcinka, dużej wsi mającej lanów inwentarskich 52, prętów 10,5.

„G a n c a r z e. Ponieważ mają przywilej od JO Księcia JMci Lubiąskiego Biskupa krakowskiego anno 1714 dany, którym uwalnia garncarzów od roboty, pańszczyzna ex eo aby zawsze czy około pieców kominów, czyli murów pałacu radłowskiego i folwarcznych robili, gdy zajdzie potrzeba, co się i teraz postanawia, aby do pańszczyzny pociągani nie byli, ale za nie płacili według nieniejszej dyspozycji. Powinni jednak powaby z gromadą i szarwarki odprawiać, do tego czynszu po zł. 4 każdy do prowentu, ile ich się znajdzie, oddawać, i garków po kop 6 każdy lub kafli szarych na folwarcznie piece, a jeżeliby tego tak wiele nie potrzebowały folwarki, mają takowe garki zapłacić, kopę każdą po zł. 2, co uczyni za kop 6 zł. 12. Aże zaś są i inni poddani, którzy do ju-

rydykcji radłowskiej nie należą, ex quo są poddanymi inszymi jako to do plebanii należącym, więc i ci do czynszu należeć mają, a to ex ratione lassu pańskiego, którego siła wyrabują do garków, i grunt psują w kopaniu gliny garncarskiej, których o tę daninę exekwować należy, co i o inszych rozumieć”.

Tyle jeden inwentarz. Jeżeliby dobrze poszperać w starych drukach i manuskryptach, niewątpliwie wiele ciekawych wiadomości dotyczących dawnych rzemiosł wydobyto by na światło dzienne. Nowe materiały z kolei pozwoliłyby skonfrontować naprędce tworzone, oparte na szczupłych wiadomościach, powierzchowne teoryjki z dziedziny „historii garncarstwa ludowego” z wierniejszym obrazem rozwoju tej gałęzi rzemiosła. P. S.

Nadesłane do Redakcji  
WYDAWNICTWA PTTK

DOLNOŚLĄSKI INFORMATOR TURYSTYCZNY, Praca zbiorowa pod red. Władysława Staszczyńskiego, 1956, str. 79 + dwie barwne mapy Sudetów (część wschodnia i zachodnia), cena zł 10, wydał Oddział we Wrocławiu.

POZNAŃ STARY I NOWY, Praca zbiorowa, 1955, str. 192, cena zł 7,50, wydał Oddział w Poznaniu.

PRZEWODNIK PO ZABYTEKACH WROCŁAWIA, Praca zbiorowa pod red. Gwidona Króla, 1956, stron 255 + 2 plany (miasta i śródmieścia), cena zł 10, wydała Okręgowa Komisja Opieki nad Zabytkami we Wrocławiu.

TURYSTYCZNY INFORMATOR WOJEWÓDZTWA GDAŃSKIEGO, Praca zbiorowa pod red. Zygmunta Brockiego, 1956, str. 137 + mapka, wydał Oddział w Trójmieście (Gdańsk-Sopot-Gdynia).

Antoniuk J. i Troczewski Z. dr, BIAŁYSTOK I OKOLICE, 1956, str. 140 + plan miasta i mapka okolicy, cena zł 6, wydał Oddział w Białymstoku.

Małachowski B. i Zemanek W., PORADNIK KOŁA PTTK, Nr 3, Praca sekcji górskiej w kole, 1956, str. 19, wydał Oddział w Krakowie.

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką o tragicznych losach zbiorów b. muzeum w Miastku zamieszczoną w Nr 1/56 „Ziemi”, otrzymaliśmy list wyjaśniający od Dyrekcji Muzeum w Toruniu. Zdaniem Dyrekcji zarzut obojętności wobec zniszczenia rzeczonych zbiorów był niesłuszny. Muzeum w Toruniu bowiem, „za jedno ze swych naczelnych zadań uważało i uważa gromadzenie i ochronę zabytków i tej idei służy walcząc o jej realizację w całej Polsce”, a także temu celowi poświęca „ofiarnie wysiłki swych pracowników”.

Walka o zagrożone zbiory w Miastku przejawiała się w ten sposób, że Muzeum w Toruniu „zwróciło się do PRN w Miastku z interwencją w tej sprawie”, „odpowiedź jednak nie dała pozytywnych rezultatów”.

Dziękujemy Dyrekcji za wyjaśnienie i życzymy dalszych sukcesów w pracy i walce.

## ZABYTKOWE BUDOWNICTWO LUDOWE

w powiecie olkuskim

Dokończenie ze str. 28

Na śleminiu spoczywają wydłużanym wrębem krokwie, przybite drewnianymi kołkami, podobnie jak i „łaty“ podtrzymujące snopki strzechy. W całym dachu nie ma więc ani jednego żelaznego gwoźdźca.

Konstrukcja sochowo-śleminowa zachowała się w tych dwóch wsiach w wielu budynkach mieszkalnych i stodołach. Szczególnie ciekawy jest fakt, że najczęściej spotykamy ją w stodołach o rzucie wielobocznym. Stanowią one trzecią atrakcję etnograficzną tego terenu.

Te ośmio- lub sześcioboczne stodoły tworzą bogaty akcent plastyczny na tle tutejszego budownictwa, dość prymitywnego w detalu architektonicznym. Wytlumaczenie tak dziwnej formy stodoł jest trudne — nie wiadomo, czy budowniczości kierowali się względami plastycznymi, czy użytkowymi (może odmienny sposób układania zbiorów?), czy też brakiem budulca odpowiedniej długości do tworzenia tak dużych kubatur. Wyjaśnienie jest tym trudniejsze, że ludność miejscowa, nawet jej najstarsi przedstawiciele, nie potrafi wyjaśnić tego fenomenu, lecz dziwi się tylko fantazji przodków. Dziś stodoły wieloboczne uważane są za wybitnie niepraktyczne.

Toteż budynki wieloboczne i sochowe nikną w szybkim tempie ustępując miejsca nowoczesnym olbrzymom ceglano-kamiennym, pokrytym dachówką lub płytami eternitowymi. Poza większą pojemnością ważną ich zaletą jest zabezpieczenie zbiorów przed pożarami. Ogień bowiem jest do dzisiaj postrachem mieszkańców Sułoszowej, z powodu wielkiej ilości strzech i budynków drewnianych.

Stare budynki mieszkalne i „okoły“ ulegają również coraz częstszemu przeróbkom lub, opuszczone i nie konserwowane, niszczeją. Nie zaspokajają one wzrastających stale potrzeb mieszkańców, a uświadomienie wartości zabytkowych i plastycznych starego budownictwa postępuje na wsi jeszcze zbyt wolno. Ludność wiejska lekceważenie dla przeszłości rozciąga na wszystko co „stare“, a w dążeniu do wygody i szybkiego unowocześnienia wyglądu swego otoczenia nie cofa się nieraz przed burzeniem najciekawszych obiektów.

Wojewódzki konserwator zabytków w Krakowie rozpoczął już wstępne badania w terenie i pomiary typowych budynków, lecz często akcja ta napotyka na nieprzychylną postawę mieszkańców, z powodów opisanych wyżej.

W akcji ochrony ginących zabytków budownictwa ludowego powinni pomóc turyści-krajoznawcy, a mogą działać naprawdę wiele.

Charakterystyczną i najbardziej rzucającą się w oczy częścią kobiecego stroju świętokrzyskiego, jest do dziś powszechnie używana zapaska naramienna. Ubiór to bardzo ciepły, a co ważniejsze — doskonale chroni od deszczu i wiatru, w które tak przecież obfituje okolica Gór Świętokrzyskich.

Zapaska wykonana jest z płatu samodziātu wełnianego, o wymiarach około 180×70 cm. Jeden z dłuższych boków, po przymarszczeniu wszywa się w oszewkę, tak zwaną krajkę o długości około 120 cm. Luźno zwieszające się jej końce służą do zawiązywania, tak aby zapaska nie mogła obsunąć się z ramion.

Podczas badań naukowych nad strojem świętokrzyskim wpadłem w lecie 1954 roku na ślad istnienia nieznanego etnografom elementu stroju ludowego. Nie posiadały go dotychczas muzea ani nie uwieczniła go żadna fotografia czy rysunek.

Nic więc dziwnego, że przywieziona przeze mnie wiadomość spotkała się z niedowierzaniem.

Chodziło o płócienną zapaskę naramienną, zdobioną haftem. Zapaski takie, jak się dowiedziałem, noszono podczas wesel, procesji Bożego Ciała i w ogóle jako strój wybitnie uroczysty. Zostały one zarzucone pod koniec XIX wieku, nadzieje więc znalezienia zachowanego do dziś okazu były nikłe. Starsze gospodynie zgodnie twierdziły, że ostatnie takie zapaski dawno zostały zużyte jako zasłony letnich kuchenek, stojących prawie przed każdą chatą. I rzeczywiście — poszukiwania nie dawały rezultatów. Informacja uzyskana od tych kilku starszych kobiet wiejskich wydawała się mało prawdopodobna.

Poza tym zapaski wełniane występowały w Świętokrzyskiem od dawna. Ten kobiecy strój, na codzień czarny lub pasiasty w ciemnych barwach, a na święto — w czerwone i czarne pasy, zrosł się z regionem jako jedna z cech najbardziej charakterystycznych.

W grudniu 1955 roku Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach zwróciło się do mnie z prośbą o zakupienie pewnych eksponatów z terenu kieleckiego. Między innymi zajechałem i do Bielin (w pow. kieleckim) znajdujących się niemal że w samym sercu Gór Świętokrzyskich. Pomiedzy wieloma innymi rzeczami miałem zakupić tu białą haftowaną halkę. Dla informacji czytelników dodam, że halkę nazywają po wsiach rodzaj białej spódnicy, najczęściej dołem haftowanej i wykończonej ząbkami. W pasie jest ona mocno przymarszczona i ujęta w oszewkę. Halkę taką nosi się pod spódnicą, tak by hafty były widoczne — bądź stale, bądź też tylko w ruchu, przy tańcu itp.

Halka, o której mowa, na pozór różniła się od przeciętnych tylko bogatszym haftem. Składała się ona z czterech brytów płótna.

Dolny brzeg zdoł doszty ząbkowany ornament. Nadto szeroki pas haftów i koronki zdoł jedynie trzy bryty.

Dlaczego właścicielka, zdobiąc tak bogato trzy bryty, zupełnie nie ozdobiła czwartego? Uwagę zwracała też szerokość pasa ozdób. Łącznie wynosiła ona 32 cm. Strój świętokrzyski nie jest powiewny, toteż małe były możliwości pokazywania całego zdobienia. Nasuwające się podejrzenia sprawdziłem, porównując płótno brytów zdobionych z brytem nie zdobionym. Różniło się nieco grubością nici i gęstością splotu. Teraz nie miałem już wątpliwości! Halka składała się z dwóch pierwotnie zupełnie odrębnych części, do których dołem, dla ozdoby, doszty pas wykończony ząbkami. Bryty z haftem i wstawką niewątpliwie musiały pochodzić z jakiegoś odzienia, lecz nie przypominały żadnej znanej z tego terenu części odzieży.

Po dokładnych oględzinach byłem

## NIEZNANY ELEMENT STROJU LUDOWEGO

JANUSZ KAMOCKI

pewny, że znalazłem płócienną zapaskę naramienną, przedmiot mych usilnych, dotąd bezskutecznych poszukiwań. Antonina Zawierucha wykonała swoją halkę ze swej ślubnej zapaski z roku 1908. Doszła tylko jeszcze czwarty bryt, by „kawał płótna się nie zmarnował“.

Była to zresztą ostatnia kobieta, używająca jeszcze w tej wsi płóciennej zapaski.



↑ Halka ludowa ze wsi Bieliny w pow. kieleckim. Z lewej — bryty zdobione haftem i koronką, z prawej — bryt niezdobiony.

Fot. Michał Maśliński



← Współczesny kobiecy strój ludowy z Gór Świętokrzyskich.

Fot. Janusz Kamocki

→ Koronka i górny pas haftu należał do zapaski naramiennej. Pas dolny, haftowany i wykończony ząbkami dosztyło po zamianie zapaski na halkę.

Fot. Michał Maśliński



← Znalaziona we wsi Bieliny zapaska naramienna z płótna po odpruciu późniejszych doda ków.

Fot. Michał Maśliński





# PAŁAC W TRZEBINIE

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Za Prudnikiem droga wiedzie poprzez łagodne wzgórza ku niskiemu w tej okolicy pasmu Sudetów. O kilka kilometrów od granicy położona jest wieś Trzebinia. Był tu niegdyś ośrodek letniskowo-zdrojowy, ale pałac użytkowany na ten cel uległ zniszczeniu w czasie działań wojennych i na razie nie zanoszą na jego odbudowę. Pałac powstał w końcu w. XVI i reprezentuje interesujący i dość odrębny przykład renesansu śląskiego. Po XIX-wiecznej przebudowie przede wszystkim z pożogi wojennej ocalały jedynie mury obwodowe i szczyt wykreślony płynną, falistą linią. O wiele bardziej interesujące jest jednak otoczenie pałacu. Składa się na nie masywny, prosty budynek bramny oraz mur zamykający niegdyś elipsoidalnie

całe założenie. Mur ten zachował w zwieńczeniu attykę z częściowo zrekonstruowaną dekoracją sgraffitową. Subtelne roślinno-geometryczne wzory pokrywają grzebień o wyrazistym, urozmaiconym rysunku, a słońce zalamując się w gzymsowaniach gra mocnym światłocieniem w tej architekturze dostojnej i pogodnej zarazem.

Cóż, kiedy ów piękny mur niszczy się z tygodnia na tydzień. Okoliczni mieszkańcy łupią go i rozbierają bezkarnie, zaopatrując się w ten sposób tanim kosztem w materiał budowlany.

Warto więc chyba nie tylko obejrzeć to, co pozostało z budowli, lecz również pomyśleć o uratowaniu tego nieprzeciętnej wartości zabytku.



Fragment ozdobionej renesansową attyką muru obwodowego pałacu w Trzebinie. Z prawej strony widoczne wyraźnie uszkodzenie dekoracji sgraffitowej.



Przylegająca do muru obwodowego brama pałacu w Trzebinie. Malowniczy ten pałac powstał w końcu XVI wieku.

Wszystkie zdjęcia autora artykułu.